ŚWIAT



SZKOLNY

UWAGA! UWAGA!

WIELKI KONKURS „SWIATA SZKOLNEGO"

„Dlaczego Polska musi mieć kolonie?"

pod powyższym tytułem ogłasza Redakcja „Swiata" konkurs, w którym udział może brać każdy czytelnik naszego pisma.

Nagrody ufundowane przez L. M. i K. oraz „Swiat Szkolny".

I nagroda 20 zł
II „ 10 zł.
III „ roczna prenumerata „Morza"

Warunki konkursu:

1) Pracę należy nadesłać najpóźniej do dn. 20 II b r. 2) Odpowiedź musi być zwięzła i rzeczowa i nie może przekraczać 2 stron papieru prośbowego. 3) Do pracy należy dołączyć kupon „Swiata", uprawniający do wzięcia udziału w konkursie. 4) Pracę należy podpisać imieniem, nazwiskiem oraz klasą autora

WIELKI KONKURS SPORTOWY

Każdy może otrzymać 20 zł., ryzykując tylko 20 gr.

kto odgadnie wynik meczu z Niemcami?

Warunki konkursu:

Nagrodę w kwocie zł. 20 otrzyma ten, kto odgadnie wyniki poszczególnych walk i wpisze do kuponu ostateczny rezultat meczu bokserskiego Polska — Niemcy, wyznaczonego na dzień 13 lutego. Gdyby żaden z uczestników konkursu nie odgadł trafnie wyników wszystkich walk, będą poddane losowaniu wyniki najbardziej zbliżone do rezultatu osiągniętego w ringu poznańskim. Każdy uczestnik konkursu może nadesłać dowolną ilość kuponów, dołączając jednak do każdego kuponu kwotę 20 gr. w znaczkach pocztowych. Kupony bez wymienionej kwoty rozpatrywane nie będą Ostateczny termin upływa z dniem 11-go lutego.

Kupon znajduje się na 21 stronie „Swiata".

Prace do następnego numeru należy nadsyłać do 15. II. 1938 r.

ŚWIAT SZKOLNY

Miesięcznik Młodzieży Szkół Średnich

Rok XII Luty 1938 Cena 35 gr. Nr. 2 (67)



KONSTYTUCJA
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
z dnia 23 kwietnia 1935 roku

Art 2 mówi:

1. Na czele państwa stoi Prezydent Rzeczypospolitej.

2. Na Nim spoczywa odpowiedzialność wobec Boga i historii za losy Państwa.

3. Jego obowiązkiem naczelnym jest troska o dobro Państwa, gotowość obronną i stanowisko wśród narodów świata.

4. W Jego osobie skupia się jednolita i niepodzielna władza państwowa.

Z okazji imienin Pana Prezydenta Rzeczypospolitej prof. Ignacego Mościckiego — zarządy kół „Pracy dla Państwa" w imieniu wszystkich kolegów i koleżanek postanowiły ufundować

„dar młodzieży dla armii".

KU CZEMU IDZIE POLSKA

Czy wśród młodzieży gimnazjalnej istnieją różnice ideowe?

MOTTO:

O Polsko! — czas, abyś się zlała w jednej idei ognisko,
a na wsze strony rozrzuciła słów i czynów miecze.

J. Słowacki.

W dobie ogólnego podniecenia, pomieszania pojęć politycznych, w dobie formułowania się nowych obozów i rzucania na szalę życia politycznego coraz innych haseł, temat, który teraz poruszę, jest wyjątkowo drażliwy, ale równocześnie bardzo ważny dla przyszłości Polski. Przyszłość Polski, jej oblicze ideowe jest zależne od nas samych, młodego pokolenia Odrodzonej Polski. Wnikliwa analiza prądów politycznych i ewolucyj ideowych, jakie zachodzą w młodym pokoleniu może nie tylko nam pozwolić uchylić rąbka tajemnicy przyszłego bytu państwa, *ale także załagodzić walki i spory w młodym pokoleniu, które nie wypływają z istotnych różnic ideowych, ale z przeniesienia sporu starszego pokolenia na młodsze.* — Problem ideowości młodzieży dzisiejszej jest poruszany przez wszystkie partie i partyjki jako problem naczelny ich rozwoju, jako problem ich przyszłości i dojścia do władzy. Dzisiejsza walka polityczna toczy się o dusze młodego pokolenia, o jego stronę ideową i o pozyskanie jak najliczniejszego narybku do swego ciasnego partyjnego akwarium.

Z drugiej zaś strony wielu znanych pedagogów uderza na alarm i zarzuca nam bezideowość, nadmierny pesymizm, brak wyższych wzlotów, brak wychowania i materializm. Zapewne, że młode pokolenie jest inne od starszego, gdyż musi być inne, ale czy rzeczywiście jest tak źle? Czy młodzi są gorsi od starszych? Czy naprawdę nie mają żadnej wielkiej idei? A jeżeli mają, to czy ta idea nie jest jedynie możliwą w sytuacji obecnej?

Mój Boże! Jaka wielka ignorancja, jaki brak zrozumienia ewolucyj ideowych i prądów nurtujących młodzież dzisiejszą może wysuwać podobne zarzuty, które słyszy się na porządku dziennym w najpoważniejszych pismach. A jednak dobro państwa i dobro całej młodzieży wymaga właściwego, nie partyjnego naświetlenia oblicza ideowego młodego pokolenia.

Potrzeba idei.

Nasze polityczne położenie pomiędzy imperialistyczną Rosją Sowiecką a imperialistycznymi Niemcami wymaga silnego, zwartego narodu i bezwzględnej konsolidacji w jednej wielkiej idei, która by mogła przeciwstawić się ekspansywnym ideałom naszych obydwóch sąsiadów. Idea ta nie może upodobniać się ani sprzyjać czy to komunizmowi, czy też niemieckiemu faszyzmowi bez straty własnej niezależności, gdyż jasnym jest, że w stosunkach politycznych i społecznych zawsze pociągać będą masy skrajniejsi w poglądach, więcej demagogiczni w obiecywaniu. *Racja stanu Polski wymaga, żeby przyszłe oblicze państwa było wybitnie polskie, narodowe, bez żadnej naleciałości obcej kultury czy filozofii, a idea, która ma skonsolidować naród, doprowadzić go do potęgi, musi stawiać wielkie cele, pobudzać do fanatycznego poświęcenia dla ich realizacji, działać zdobywczo i ekspansywnie na otoczenie, musi być równocześnie skierowana przeciwko hitleryzmowi z jednej, a komunizmowi z drugiej strony.*

Powinna więc posiadać te trzy cechy: 1) konsolidować cały naród, 2) budować Nową Polskę, potężną i mocarstwową, 3) walczyć z faszyzmem niemieckim i doktryną liberalno-materialistyczną, jako z przednią strażą komunizmu.

Walka starszego pokolenia z młodszym.

Cechą dzisiejszego polskiego życia politycznego jest ogólny chaos, pomieszanie pojęć, wzmożenie się partyjnictwa, walka ambicyj i ambicyjek, różnokolowość idei. Lecz poprzez te wszystkie partie i grupy, tak lewicy, jak i prawicy, można przeprowadzić jedną linię podziału na dwa odmienno psychiczne obozy. *Jeden — to starsze pokolenie przedwojenne* i psychicznie z nim związane pokolenie powojenne, *drugi — to pokolenie nowej, odrodzonej Polski.* Pokolenia te wszędzie, w każdym ugrupowaniu politycznym czy społecznym walczą ze sobą zacięcie.

Młodzi zarzucają starszym brak energii, sentymentalny a nie realny stosunek do państwa, ogólny snobizm i zacietrzewienie partyjne, a wreszcie w dziedzinie gospodarki brak fachowości. Zarzuty starszego w stosunku do młodszego pokolenia nie są mniej ważne i niesprawiedliwe. Przede wszystkim bowiem starsi żalą się i narzekają na rzekomy materializm młodego pokolenia, na brak jakiejkolwiek idei, brak wychowania, aż wreszcie na silny radykalizm społeczny i rewolucjonizm duchowy. — Zarzuty obydwóch stron są ostre i często nie-

sprawiedliwe. *Lecz dlaczego ta walka, odwieczna walka starych z młodymi, walka, na której polega postęp kultury i cywilizacji, jest tak wyjątkowo gwałtowna i bezwzględna, dlaczego młodzież wymyka się spod kierownictwa starszych, dlaczego jest opozycją, opozycją w stosunku do rządu i do opozycji rządowej?* Zapewne, że wiele jest przyczyn, wiele zjawisk, które powiększają zatarg i wpływają na wzajemny braz zrozumienia, *lecz najważniejszą z nich jest odmienność podłoża psychicznego i ideowego, wynikająca z odmienności warunków materialnych i politycznych,* które kształtują zapatrywania i ideały nie tylko jednostki, ale także całej epoki.

Podłoże ideowe materialistyczno-romantyczne.

Przed wojną światową życie toczyło się powoli, jednostajnie, łatwość zarobkowania była o wiele większa, możność zdobycia majątku szybsza, przemysł w zaczątkach, handel przynosił wysokie dochody i w ogóle życie było o wiele łatwiejsze. W takiej to atmosferze ogólnego dobrobytu młodzież ówczesna musiała widzieć ową wielką przepaść między stopą życiową miejskiej burżuazji a dnem nędzy robotnika, i naturalnie musiała zwrócić uwagę na krzywdę klasową tej najniższej klasy społecznej. Dlatego też cała młodzież ideowa w owym czasie była „czerwona“, socjalistyczna. Praca wśród nędzy i walk z przemocą czy to najeźdźcy, czy też kapitału nastrajała ją idealistycznie i fanatycznie. *A cel, do którego dążyła, był jasny, sprecyzowany — wolność Polski, a droga do celu jedyna — walka z najeźdźcą.* Te wszystkie czynniki, jak radykalizm społeczny i związany z nim ateizm, walka o wolność i cały szereg innych, wytworzyły swoiste podłoże duchowe, które cechowało oderwany od rzeczywistości idealizm i pewien sentymentalizm w stosunku do przyszłego państwa.

Wojna światowa nie tylko zmieniła polityczne oblicze Europy, ale także warunki gospodarcze i społeczne. Życie przeobraziło się zupełnie. Każdy z nas od najmłodszych lat styka się z nędzą i biedą, zaciętą walką o byt i możność pracy, z odmawianiem sobie najpotrzebniejszych rzeczy, z ciągłym obniżaniem stopy życiowej. *Warunki trudne, warunki ciężkie, wyrabiają oprócz realnego poglądu na świat także ową nienawiść środowiska, w którym trzeba zmagać się z losem.* I dlatego ludzie, którzy przeżyli czasy wojny, widzą ją tylko w czarnych barwach i za wszelką cenę pragną pokoju. *Dlatego młodzież dzisiejsza nienawidzi owej nędzy i biedy, która „nazywa się polską nędzą istnienia, a sama staje się tyranem istnienia“* (Żeromski: Uroda życia). — *I właśnie ten objaw nienawiści tego tyrana istnienia, a pragnienie zdobycia majątku, pragnienie życia w dostatku, życia na skalę kulturalnego człowieka, jest jedną z największych sił żywotnych nowego pokolenia, jest gwarancją wielkiej przyszłości Polski, jest ową tarczą przeciw komunizmowi, który, niszcząc dobrobyt jednostki, nie daje równocześnie dobrobytu ogółowi.* Przedwojennemu pokoleniu wystarcza wolność, nam nie, nam trzeba chleba, siły i potęgi. Teraz jesteśmy państwem nędzarzy. I ta świadomość pali nas i piecze, gdyż chcemy być państwem bogatym i zasobnym. *My napewno nie będziemy pozować na pokrzywdzonych męczenników i cierpiących bohaterów, lecz siłą weźmiemy to, co nam do życia jest konieczne.*

Nasz stosunek do państwa nie jest oparty na mdłym patriotyźmie, lecz na realnych podstawach dobrobytu. Rozumiemy, dosłownie rozumiemy, nie tylko w teorii, że państwo to społeczeństwo, społeczeństwo to my. *I dlatego mogę śmiało powiedzieć, że hasło obrony narodowej znalazło podatny grunt u młodzieży, która według zasady, że najlepszą obroną jest atak, w przygotowaniu do tego ataku gotowa ponieść największe ofiary.*

Warunki te wyrobiły, jak widzimy, pewien charakterystyczny światopogląd, pewne podłoże ideowe, wspólne całemu młodemu pokoleniu, które nazwałbym podłożem *„materialistyczno-romantycznym“, gdyż cechuje go realistyczny, a nawet materialistyczny* (w sensie dosłownym) *pogląd na świat, na pracę, na państwo i patriotyzm, z drugiej strony wielki romantyzm idei, romantyzm Batorych, Chodkiewiczów, Żółkiewskich, Mickiewiczów, Traugittów i Piłsudskich.* Te dwa pierwiastki: *materializm czynu i romantyzm celu* stworzyły w duszach młodzieży jednolity twór ideowy, na którym wyrastają wszelkie wielkie ideały i poglądy. Z tego podłoża wypływa odmienny stosunek do zagadnień państwowych, stosunek nie sentymentalny, jak w starszym pokoleniu, ale stosunek realny, ludzi wychowanych w wolnym, niepodległym państwie. *Z tego też podłoża wypływa walka z jednej strony z komunizmem, jako niszczycielem dobrobytu, a z drugiej — z konserwatywnym kapitalizmem, bogacącym się krzywdą robotnika czy wieśniaka.*

I oto dochodzimy do trzeciej cechy młodego pokolenia, do *radykalizmu społecznego na gruncie narodowym i chrześcijańskim.* W młodym pokoleniu nie ma ani walk, ani różnic klasowych, gdyż rozpiętość między stopą życiową bezrobotnego, a przeciętnego „burżuja“ nie jest wielka: *obaj są nędzarzami.* Dlatego najważniejszym *problemem socjalnym nie jest podniesienie stopy życiowej jednej warstwy kosztem drugiej, lecz ograniczenie ustawą wyzysku kapitału i stworzenie takiej koniunktury gospodarczej, która by podniosła stopę życiową całego narodu.*

Ztego podłoża materialistyczno-romantycznego wypływają wszystkie ideały dzisiejszego pokolenia, które od wojny światowej przeszły wiele ewolucyj. Pod wpływem ostatnich wydarzeń politycznych odbyło się ogromne przesunięcie ideowe *z pacyfizmu na imperializm.* — W okresie powojennym, psychicznie i materialnie podobnym do okresu przedwojennego, karmiono młodzież ideałami pacyfistycznymi, często połączonymi z komunizmem. Pacyfizm był bardzo modnym kierunkiem, a Liga Narodów przeżywała swój szczyt rozwoju i powagi. — Wtedy to też nasi koledzy marzyli o zniesieniu granic, o jednej owczarni i wołali: Precz z wojną, precz z wojskiem! Nie będziemy mordowali braci, etc.

Lecz wkrótce nastąpiło opamiętanie i młodzież zaczęła z pewną rezerwą przyjmować poglądy pacyfistyczne. Tymczasem wypadki polityczne ostatniej doby pogrążyły n a d z i e j ę wiecznego pokoju i postawiły na pierwszym planie kwestię *ekspansji narodowej i siły militarnej.* Większość zrozumiała, że pokój nie może opierać się na stosach papierowych umów i traktatów, lecz musi wypływać z interesu wszystkich państw i musi dać wszystkim możność życia i rozwoju. Ponieważ jest to rzeczą niemożliwą, a każdy naród musi siłą zdobywać to, co mu do życia i rozwoju potrzebne, więc my w tej chęci zdobywania i odbierania nie możemy pozostać w tyle. I dlatego w sprawie wojny włosko-abisyńskiej, chociaż uczuciowo skłanialiśmy się ku Abisyńczykom, to jednak rozumieliśmy konieczność wojny przez Włochów prowadzonej dla ich istnienia i nie potępiamy ich i nie potępialiśmy, jak to czyniła prasa całego świata, gdyż (jak pisał jeden z kolegów w Świecie Szkolnym) „prędzej czy później życie zmusi nas do prowadzenia wojen zaborczych, o ile chcemy być narodem wielkim i coć znaczyć na karcie Europy“. *Może jest trochę przesady w tym „zaborcze“, bo wystarczy odebrać ziemie nam się należące,* lecz ono odzwierciadla poglądy większości, mówi, że *era przyjmowania rozsiewanych ziaren pacyfizmu* bezpowrotnie minęła i młodzież stanęła na płaszczyźnie interesu narodowego.

(Dokończenie nastąpi). *Z. Zajdler.*



żyła w dawnych czasach na Pomorzu piękna legenda, w najdawniejszych kronikach zapisana i z pietyzmem z pokolenia na pokolenie przekazywana, że przed przeszło tysiącleciem na wybrzeżu Bałtyku istniało wielkie słowiańskie miasto — Weneta. W nim miał się koncentrować najpotężniejszy handel Europy północnej, tu zawijać miały liczne okręty z wielu zamorskich krajów. Rosło więc wciąż wielkie polityczne znaczenie miasta oraz narodu, który był jego organizatorem i twórcą.

Legenda ta w oczach naszych stała się rzeczywistością, baśń stała się prawdą... Na piaszczystych wydmach Bałtyku powstała, wyczarowana mocą woli, mózgu i mięśni narodu polskiego. Gdynia, największy dziś port tego morza, o znacznym obrocie zarówno handlowym, jak i pasażerskim. Już samo jej powstanie ma w sobie coś z baśni.

10 lutego 1920 roku w tym historycznym dla nas dniu, w którym żołnierz polski dotarł w zwycięskim pochodzie do brzegów Bałtyku i przywrócił go Rzeczypospolitej w wieczyste władanie, Gdynia była, jak i inne miejscowości na polskim wybrzeżu, małą wioską rybacką, kilkaset mieszkańców liczącą i położoną na wydmach piaszczystych. Ale już wtedy, gdy w imieniu naczelnika państwa, Józefa Piłsudskiego, gen. Haller stanął na czele wojska polskiego nad morzem i wśród grzmotu dział wrzucił w fale pierścień, symbolizujący zaślubiny Polski z morzem, wiadomym było powszechnie, że jeśli chodzi o politykę morską, — Polska niepodległa i odrodzona nie będzie kontynuowała tradycji Polski przedrozbiorowej. Rozumiano doskonale, że utracenie dostępu do morza musi bezwzględnie w konsekwencji pociągnąć za sobą upadek państwa polskiego, że

trudno o bardziej słuszne i prawdziwe zdanie, jak „Nie ma Polski bez morza!“ Toteż nie czekano długo. W roku 1922 w Gdyni powstało już drewniane molo, prowizoryczna przystań, pojawiło się kilkanaście statków. W roku 1924 były już maszyny, holowniki, elektrownia, została zawiązana regularna komunikacja z Francją. I choć w roku 1925 i 1926 śmiano się z nas jeszcze, że chcemy z tej mieściny na gwałt zrobić port i niepotrzebnie tracimy pieniądze, to w latach 1927 — 29, gdy w Gdyni powstały nadbrzeżne magazyny i składy, rozrosła się flota handlowa, gdy polskie okręty sięgnęły na oba Atlantyki, południowy i północny, a miasto doszło do 30 tysięcy mieszkańców, śmiechy te przycichły, by w roku 1930 zamienić się w ogromny podziw i uznanie, nawet przez naszych wrogów nie ukrywane.

A gdy w latach dalszych w zatoce gdyńskiej pojawiły się okręty różnych narodowości, gdy nawiązano stałą komunikację z Ameryką, a polska flota wojenna rozrastała się szybko i planowo, gdy w roku 1933, w czasie „Święta Morza“, niezliczone tłumy zamanifestowały gotowość obrony Pomorza do ostatniej kropli krwi, wtedy stała się rzeczywistością druga część legendy o Wenecie, mówiąca, że rozrost portu i miasta podniósł znaczenie i potęgę narodu, który je do życia powołał. Nie potrzebujemy pisać, czym jest dzisiaj Gdynia. Każdy z nas ogląda jej wielkość i znaczenie własnymi oczyma. Niewątpliwie wiele jej zawdzięczamy, jeżeli chodzi o podziw i szacunek, jaki budzimy wśród sąsiadów, ale przede wszystkim zawdzięczamy jej to, że Polska młoda, Polska odrodzona stoi dziś znowu mocno twardą stopą na brzegu Bałtyku.

M. P. — G. P. J. S.

DZIAŁ DYSKUSYJNY.

Czy istnieje totalizm?

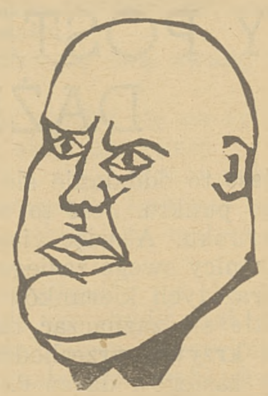
Dużo mówi się dzisiaj o „totaliźmie“, a wielu z jego zajadłych przeciwników czy fanatycznych zwolenników nie zdaje sobie nawet sprawy ze znaczenia tego słowa.

Dzisiejsza ludzkość, a szczególnie t. zw. inteligencja lubuje się w pięknych słówkach. Popularnością cieszą się wszelkie „—izmy“. Niech tylko zajdzie w świecie jakieś zjawisko, a w tej chwili przylepią mu etykietkę, uogólnią to nowe pojęcie na cały szereg innych zjawisk, nie dbając o to, czy dane określenie jest trafne, czy nie. Brzmi pięknie, to grunt.

Mówi się dzisiaj wiele o totaliźmie japońskim, włoskim, niemieckim czy rosyjskim, określa się to wszystko krótko „totalizm“. A przecież te ruchy albo mają z sobą niewiele punktów stycznych (faszyzm, hitleryzm), albo są zupełnie z sobą sprzeczne (komunizm a pozostałe „totalizmy“). Widzimy więc, że każdy z tych „totalizmów“ jest różny od pozostałych, że to nie jest jakaś uniwersalna doktryna czy idea.

Totalizm to po prostu silny i konsekwentny w swoich posunięciach rząd, to jednostkowa odpowiedzialność, a nie parlamentaryzm, gdzie każdy przypisuje sobie sukcesy, a wrogom klęski. A taka forma rządów nie jest nowością. — Znał ją Egipt starożytny, Persja, Ateny za Peryklesa, Austria i Prusy w wieku światłego absolutyzmu. Tymczasem wielu ludziom zdaje się, że „totalizm“ to najnowszy wynalazek XX wieku. Historia się powtarza i po okresie demokracji przychodzi reakcja.

Doświadczenia ostatniej doby uczą nas, że to już zmierzch idei Rewolucji francuskiej. — Może to być dla kogoś smutne, może ktoś nad tym szczerze boleć, ale zgodzić się z tym faktem trzeba. Wystarczy porównać Francję i Niemcy, a nie będzie trudno wyciągnąć daleko idące i wielce pouczające wnioski. Nie czas tu i miejsce rozwodzić się nad tym, zresztą znany jest dzisiaj wszystkim stosunek obu tych państw. Nas to najbardziej musi obchodzić, ze względu na Francję, naszą sojuszniczkę.



Jeden zarzut stawia się totalizmowi, że krępuje wolność jednostki, wkracza decydująco we wszystkie dziedziny życia, w literaturę i sztukę nawet. Czy to zarzut istotny? Wolność jednostki, pojęta konsekwentnie, prowadzi w prostej linii do anarchii. Przykładem Francja. W życiu społecznym wolność ta nie jest zresztą nigdy zupełna. Chodzi więc tutaj raczej o stopień jej ograniczenia, niż o wolność samą. Zależy to także od charakteru narodowego i od szkoły życiowej, jaką dany naród w swym istnieniu przeszedł. Niemcy np. muszą być trzymani krótko, Włochom ten okres dyscypliny był także konieczny

ny, u nas nie mógłby nigdy „totalizm“ przybrać tak szerokich rozmiarów jak w Niemczech. — Zresztą cóż mi po mojej osobistej, choćby najszerzej pojętej wolności, jeśli przez nią swoją wolność może utracić mój naród.



Na zakończenie słów kilka o „totaliźmie“ w sztuce. Boleje kol. Zajdler nad tym, że w państwach totalnych rozwijają się tylko pewne gałęzie sztuki. Ależ tak było zawsze. W każdej epoce sztuka i nauka rozwijała się w pewnych, coraz to innych dziedzinach. Nie było nigdy takiego wszechstronnego, uniwersalnego rozwoju. — Przyjdzie czas na poezję, na powieść, gdy zelżeją nieco kluby totalizmu, które z natury rzeczy początkowo muszą być silniejsze, a słabnąć będą w miarę rozwijania się solidarności narodowej, rozluźnionej przez demokrację i liberalizm. Kiedy ludzie nauczą się myśleć przede wszystkim o dobru narodu, a później dopiero o swych osobistych interesach, totalizm stanie się prawie niepotrzebny. Nie trzeba rozdzierać szat, ale należy postępować z duchem czasu, a wtedy uniknie się wielu rozczarowań.

I jeszcze jedna sprawa: katolicyzm i totalizm. Przeciwnicy totalizmu twierdzą, że walczy on z każdą religią. Zdanie to zresztą głoszone jest prawie wyłącznie przez tych, którzy żadnej religii nie wyznają i nie tak dawno wielkim głosem wołali o usunięcie religii ze szkół. Zwyczajny manewr taktyczny. Hitleryzm walczy



z katolicyzmem, bo to wynika z jego rasistowskich założeń, ale faszyzm czy rodzący się nacjonalizm hiszpański nie tylko nie walczą z nim, ale potrafią ułożyć sobie współżycie i współpracę. Ładnie by wyglądał katolicyzm, gdyby tak we Włoszech zapanowali „obrońcy wolności i demokracji“ i poczęli rządzić według dyrektyw wodza „ojczyzny proletariatu“, Stalina.

L. Wir,
Zawiercie.

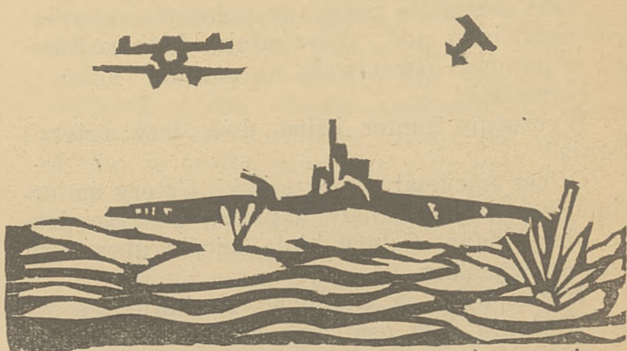
CZY POSTĘP JEST NIEPRZERWANYM DĄŻENIEM NAPRZÓD?

Postęp jest to oddalanie się od pierwotnie zajmowanego punktu. Jest to więc dążność w pewnym kierunku. A więc ciągłe przekraczanie starej granicy swego zasięgu na danym polu. Jeżeli teraz tych kierunków będzie więcej, dążenie będzie się zaznaczać także na innych polach, linia krzywa, przechodząca przez końcowe punkty zasięgów dążeń danej epoki i zamykająca wszystkie promienie kierunków, da nam obraz horyzontu ducha i umysłu danej epoki. Zestawiając zaś granice horyzontów różnych epok, możemy zobaczyć, czy postęp ludzkości istnieje. Wziąwszy zaś pod uwagę ciągłość zwiększania się granicy horyzontu, możemy się zastanowić, czy postęp jest naprawdę nieprzerwanym dążeniem naprzód? Wpierw się jednak zastanówmy, na jakie kategorie podzielilibyśmy dążenia danej epoki? Przede wszystkim na dwie kategorie: dążenie do Prawdy — i do Dobra. Otóż skala zbliżenia się do tych dwóch ideałów ludzkości stała się miarą postępu. Jakże więc daleko stały od nas te ideały w różnych epokach dziejowych ludzkości? Na ile takich epok podzielilibyśmy rozwój naszej kultury, cywilizacji, świata ludzkiego? Otóż według Hoene-Wrońskiego pierwszą epoką, pierwszym okresem historycznym ludzkości był bezsprzecznie okres bezpośrednio po czasach tradycji. Rozumiemy jednak, że w tym czasie nie mogły dla nas istnieć odrazu cele wyższe, nie materialne. Staliśmy jeszcze na zbyt niskim poziomie rozwojowym. Wtedy najwyższym i dominującym celem był cel dobra materialnego. Z tego okresu pochodzi właśnie kultura ekonomiczna, a mianowicie rozwój rolnictwa, przemysłu i handlu. Jasnym jest jednak, że jeżeli wyłącznym celem jest dobro materialne, to musi na tym ucierpieć dobro wyższe, nie materialne, etyczne. I tak było wtedy. Najbardziej jednak ucierpiała sprawiedliwość. Ba — wcale właściwie wtedy jeszcze nie istniała, miała się dopiero zrodzić w okresie dru-

gim, który nazywamy heroicznym. Ale nie należy jednak sądzić, że już było wtedy dobrze, że etyka podniosła się do poziomu. Brak było właśnie moralności. Moralność, jak przed tym sprawiedliwość, zrodziła się w następnym okresie, a mianowicie trzecim. W tym okresie dopiero dokonywuje się przewrót moralny za sprawą Chrystusową. Powstaje zrzeszenie ludzi o wysokim poczuciu etycznym i zawiązuje się Kościół Powszechny. Ale wiadomą i znaną jest rzeczą, ile później mnoży się przesądów i błędów religijnych! I oto one zapoczątkowały okres czwarty, właściwie już ostatni, okres, w którym celem powszechnym i panującym staje się wolność religijna, t. j. w zasadzie wolność myśli. Widzimy więc, że choć dążenie do Prawdy i do Dobra jest w stosunku do siebie dysproporcjonalne, jednak istniało ciągle, tylko nie równocześnie. I tak, gdy w okresie I i III dążyliśmy do Dobra, to znowu w okresie II i IV do Prawdy. Tylko, że w okresie I dążyliśmy do Dobra materialnego, a w okresie III do Dobra etycznego, — w okresie II do Prawdy na drodze sprawiedliwości, a w IV na drodze kryterium. Ale jeśli zważymy, że prawdziwie dominującym celem może być tylko jeden cel, tak, jak prawdziwie wyborną władzą może być tylko jedna władza, sprawa stanie się już jasną: w dziejach ludzkości istnieje postęp jako nieprzerwane dążenie naprzód.

Habinowski, G. P. H. S.

BOHATEROWIE



NOWELA.

„Rybitwa" sunęła z szybkością dwudziestu mil. Stalowy kadłub rozcinał z szumem zielonawą wodę, odwalając białe spienione skiby...

Kapitan Żyredzki, stojąc na mostku nad kioskiem, uważniej śledził niebo.

Niecierpliwił się.

Pół godziny temu wyruszył na spotkanie posiłków nieprzyjacielskich. Już przed pięcioma minutami powinien był połączyć się z eskadrą hydroplanów. Co chwilę spoglądał na zegarek. Nagle nad horyzontem ujrzał trzy drobne punkty.

Odetchnął.

Łódź wytrwale pruła zielone fale, póki trzy maszyny nie osiągnęły prawie że pionowego położenia względem statku.

Mechanik od hydroplanów alarmował.

Nieprzyjaciel zbliża się.

Rozległ się sygnał zanurzenia. Załoga zajęła posterunki bojowe. Sternik i oficer wachtowy zniknęli wewnątrz kadłuba. Trzasnęły zamykane luki i włazy. Komin przestał dymić. Mechanik wyłączył sprzęgło, motor elektryczny został włączony do akumulatorów. Słychać było szum wdzierającej się wody do komór balastowych i świst uciekającego powietrza. Łódź powoli zanurzała się. Za chwilę sternik wyrównał stery, łódź odzyskała poziomy kierunek.

Kapitan Żyredzki przylgnął okiem do obiektywu peryskopu i śledził uważnie powierzchnię wód.

Dojrzał na horyzoncie pięć słupów dymów, jeden z nich, potężniejszy, przerastał pozostałe. Była to flota nieprzyjacielska.

Radiotelegrafista telegrafował na rozkaz.

Eskadra do ataku!

Żyredzki skupił całą swą uwagę na objektywie.

Nieprzyjaciel zbliżył się na tyle, iż można było myśleć o akcji zaczepnej.

Flotylla składała się z jednej potężnej jednostki 40.000 tonnowego liniowca i czterech uwijających się około niego małych kontrtorpedowców.

Hydroplany przystąpiły już do akcji. Tocząc koła, zrzucały co chwilę jakieś ciemne wrzecionowate przedmioty. Wrzeciona te spadały z wciąż wzrastającą szybkością i uderzywszy o fale, pękały z hukiem, wyrzucając fontanny wody na kilka metrów w górę.

Ale nieprzyjaciel odgryzał się zawzięcie. Działka przeciwlotnicze szczekały bezustannie. Ostry trzask niepokoił lotników, prowadzących maszyny, zewsząd wytryskiwały płomienie, wykwitały białe chmurki dymu. Wiatr porywał je, ale na ich miejsce pojawiały się nowe. Lotników to nie detonowało, szybowali jak szaleni pośród eksplodujących pocisków i co moment opuszczali ciężkie prezenty. Wreszcie jeden z celniejszych padł tuż koło burty czołowego kontrtorpedowca, bryznęła wysoka fon-

tanna, statek pochylił się, ogień karabinów maszynowych i działek przeciwlotniczych osłabł. Statek posuwał się coraz wolniej, przechylając się na burtę. Jednopłatowiec zrobił jeszcze jeden wiraż, gwałtownie zniżył lot i poprawił, tym razem celniej.

W środku pokładu czerniła się ogromna czeluść, zniknęły zmiecione kominy, budki, maszty radiowe sterczała tylko jedna pancerna wieża, ziondc ciemnymi otworami nieużytecznych już dział.

Kapitan Żyredzki postanowił skorzystać z okazji.

Łódź poczęła ostrożnie zbliżać się ku miejscu walki.

Sternicy w centrali ślęczeli z oczyma wlepionymi w manometry, nadsłuchiwali rozkazów, co chwilę przesuwając dźwignie.

Łódź osiągnęła pożądane położenie, wyrzutnie ustawiono pod odpowiednim kątem. Załoga w napięciu oczekiwała na rozkaz.

Nareszcie!

Wyrzutnie numer jeden, dwa, trzy, cztery: Ognia!

Oficer nacisnął cztery guziki. Cztery śmiercionośne pociski sunęły naprzód, znacząc drogę białą pianą. Cztery białe ścieżki utworzyły szeroki wachlarz.

Widać było, iż liniowiec znajduje się na przedłużeniu dwu ostatnich ramion wachlarza.

Kapitan pancernika próbował odpowiednim manewrem przesunąć ciężkie cielsko na łukę, lecz było już za późno; nim kolos obrócił się o 15°, dwie białe smugi zbliżyły się tuż do linii jego stalowych ścian.

I tylko jedna z torped przeszła o pół metra za śrubą.

Rozległ się wstrząsający huk.

Siła wybuchu wyrwała w burcie potężną dziurę. Woda z szumem wdzierała się do kabin. Kolos pochylił się na bok i zanurzał się powoli. Część załogi, podniósłszy się, szukała ocalenia w falach. Najbliższy kontrtorpedowiec opuścił łodzie i wyławiał niedobitków.

Dwa pozostałe rozpoczęły pogoń, waląc raz po raz z dział.

Tymczasem zaraz po wyrzuceniu torped załoga trwała w niepewności. Głuchy huk rozwiał wszelkie wątpliwości.

Z szerokich marynarskich piersi wyrwało się westchnienie. Siedmiogodzinna praca dała skuteczny owoc. Jedna z największych nieprzyjacielskich jednostek będzie za kilkanaście minut spoczywała na dnie morza.

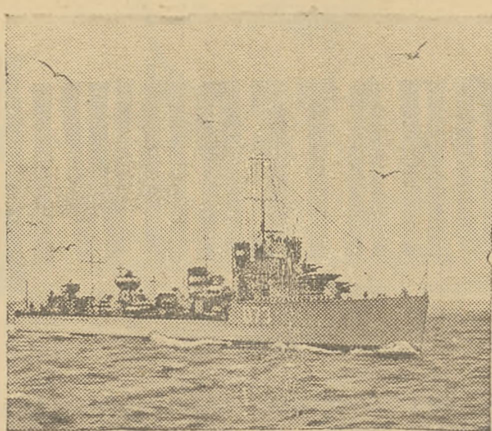
Lecz nie było czasu na radość. Zabrzmiała powtórnie komenda.

Obsługa ładowała wyrzutnie. Sternicy, skupiewszy uwagę, prowadzili łódź tuż pod powierzchnią. Łódź pomykała jak najwolniej, aby nie czynić hałasu, bo nieprzyjacielskie hydroplany zawsze czatują na najmniejszy szmer. Pomimo ostrożności nie udało się ujść niespostrzeżenie.

Bomby, snać nastawione na niskie głębokości, raz po raz wstrząsały kadłubem. Łodzią targnęło coś silnie, jak gdyby uderzyła o przeszkodę, trzasnęły pękające żarówki i ciemności ogarnęły wnętrze stalowego rekina. Otwarto wszystkie zawory komór balastowych, łódź z szumem opadła w dół. Po paru minutach dał się odczuć lekki wstrząs.

Dno.

Tu już panował spokój, jednocześnie ci od hydrafonów meldowali oddalanie się nieprzyjaciela. Załoga reparowała uszkodzenia, światło zalało kabiny, puszczono w ruch pompy, wrak wynurzał się. Manometry wskazywały głębokość 10 metrów.



Kapitan dyskretnie wysunął peryskop.

Ujrzał na horyzoncie dwa zmykające kontrtorpedowce, trzeci, przewrócony kilem do góry, świecił oślizgłym dnem, ale jeden z hydroplanów także gdzieś znikł.

Kapitan Żyredzki dał rozkaz wynurzenia się. Otwarto klapy i luki, włączono motory Diesla. Załoga odetchnęła świeżym powietrzem. Kapitan wyszedł na mostek. Łódź pruła spokojnie wodę. Stalowe płyty i błyszczące lufy dział ociekały parującą wodą.

Kapitan schwycił wiszącą u pasa lornetkę i skierował ją na południe. Zza równej linii wody wychylało się poszarpane wybrzeże, sterczały stalowe szkielety budowli portowych i potężne masy wielopiętrowych budynków.

Kapitan westchnął i wyszeptał:

Nasze wybrzeże, nasze po wszystkie czasy.

A stalowa śruba szumiąc pracowała niezmordowanie.

Z. R., G., P. R. T.



Tak niedawno... Kartki kalendarza lecą jak liście z drzew na jesieni. Każda o innej barwie: piękniejsza, bo ozłocona słonecznym odbiciem, — czerwieńsza, bo przypomina chłopięcą miłość życia i natury. Gdzieś daleko słychać szum między konarami drzew prastarych. Jakieś nowe głosy opadają na miękkie podścielisko mchów i traw. Idzie ktoś — młode, tętniące w skroniach, rozpalone krwią, huragany buntowniczych myśli; bujne — rozrosłe — jasnowłose...

* * *

Do świtu jeszcze 3 godziny. Ostatkiem sił trzymam się na nogach. Strzelają suche gałązki, dorzucone do ogniska. Od godziny 5-ej po południu do 3-ej w nocy, bez przerwy i odpoczynku wiosłowaliśmy. W dzień nie ma mowy o jeździe. Silny wiatr i rozhuśtana powierzchnia jezior nie pozwalają na najmniejszy manewr. Nocna jazda, ciągłe natężenie uwagi i wysiłek fizyczny bardzo wyczerpują. Siadłem koło ogniska i starałem się sobie uprzytomnić, jak się to stało, że ni stąd, ni zowąd znalazłem się w tym przedziwnie fascynującym kraju północnym — w Finlandii... Stało się to tak nagle, że doprawdy trudno by mi było wytłumaczyć... jak... skąd... i dlaczego...

* * *

Dobrze nazwali Finowie swoją ojczyznę: „Suomi“. Wyraz ten oznacza kraj błotnisty, kraj skał i lasów. Poeci nazwali Finlandię „krajem tysiąca jezior“. W rzeczywistości jest ich tu znacznie więcej. Jeziora zajmują w Finlandii 44 tysiące 200 klm.^{2} *Wyżyna jezior fińskich jest wzniesiona do 200 mtr.* Trudno opisać wrażenie, jakie zrobił na nas ten dziwny kraj. Zacznę od opisu stolicy — Helsingforsu — tutaj bowiem postawiliśmy pierwsze kroki na ziemi Finów.

Miasto, liczące 240 tysięcy mieszkańców, jest prawdziwą bajką. Aleje starych drzew, skwery, kwiaty na słupach ulicznych, no i nadzwyczajna czystość ulic i domów, zrobiły na nas niezatarte wrażenie. O kulturze narodu mówią liczne teatry i muzea, utrzymane w imponującym stanie. Przepiękny Teatr Narodowy w stylu gotyckim i przewspaniały uniwersytet, którego front ma 300 mtr. długości. — Cztery dni po opuszczeniu Helsingforsu witało nas jezioro Pieli. Nie wiem, czy ktoś może wymarzyć coś cudniejszego nad to jezioro. Ciągnie się ono na przestrzeni 16 klm., jest usiane skalistymi wysepkami, których ilości niesposób podać. Ciągle gubiliśmy się w labiryncie fiordów i szkerów. Miejscami woda tak płytka, że trzeba wysiadać z kajaka, gdzie indziej znowu 80-metrowa sonda „redaktora“ nie sięgała dna. Nie mniej piękne od jeziora Pieli jest jezioro Sajma.

Położone nieco wyżej od poprzedniego, jest charakterystyczne podziałem na trzy części — przez dwa wodospady. Różnica poziomów wody waha się od 4 — 6 mtr. Z jeziora tego wypływa najpiękniejsza chyba rzeka fińska, — Vuoen. Rzeka ta zajmuje szczególne miejsce w naszych wspomnieniach. W okolicznych bowiem osiedlach mieliśmy możność poznać ludzi tego zagadkowego dla nas kraju. Fin, to kochany chłop! Trochę flegmatyczny, o „ciężkim pomyślunku“, ale energiczny, solidny i zawsze dotrzymujący danego słowa!

Finowie zaimponowali nam, pokochaliśmy ich jak braci. Ich gościnność i dobroduszność, wiecznie goszczący na ich ustach uśmiech, muszą ująć obcego przybysza. Każdy Fin nosi u pasa oryginalny „puk-ko“ (nóż fiński), który jest bronią narodową.

Dalej szlak naszego spływu prowadził przez rzeki Kimen i Kum. Kum w pobliżu miasta Tampere tworzy wodospad, którego siła wykorzystana została do poruszania maszyn w olbrzymich zakładach włókienniczych i papierniach.

Nieocenione usługi oddali nam w naszej włóczędze fińscy koledzy-żeglarze z „Finland Dżonson Club“. Toteż, gdy na nasze zaproszenie przyjadą na Wileńszczyznę, Pomorze i do Augustowa, postaramy się odpłacić im równą serdecznością i przyjaźnią.

Progi skalne na rzekach fińskich są bardzo niebezpieczne dla turystów. Na jednym z takich progów na rzece Kimen, *Stach* rozbił niemal doszczętnie swego „Kleppera“, a że sam wyszedł cało, tego nie umiemy do dziś sobie

wytłumaczyć. Prąd rzek jest bardzo szybki, a liczne progi i jazy zmuszają do ciągłego wytężania uwagi. Szczególnie „podłą" do jazdy była mała rzeczka Kila. Kłody drzewa i olbrzymie głazy tworzyły tak powikłany labirynt przejść, że „można było do reszty zgłupieć", jak mówił „redaktor". (Dziwne doprawdy, że ten „fagas" do reszty nie zgłupiał.). Szczególnie silne „wstrząsy" przeżywały nasze panie.

Pamiętam, jak Alka spytała się Stacha: „Co to takiego płynie?"... Ten odpowiedział: „Nic — to tylko nieboszczyk". (Naturalnie, że było to kawał pnia, który, unoszony prądem, przepływał obok kajaka.). Jednym słowem nasze n o c n e e s k a p a d y dostarczyły nam moc wrażeń.

Pięć tygodni pobytu w Finlandii minęło tak szybko, jak cudne opowiadanie z „Tysiąca i jednej nocy". Nasza trasa kończyła się na jeziorze Ulu o cudnej panoramie przybrzeżnych pagórków i fascynującym, szmaragdowym — jak najszlachetniejszy kamień — kolorze wody. Jeszcze kilkanaście kilometrów rzeki o tej samej nazwie, rzeki, która swymi buchtami, pełnymi lilii wodnych i maleńkimi zatoczkami dziwnie przypominała nam Wileńszczyznę, i znaleźliśmy się w mieście Oulu, skąd mieliśmy rozpocząć powrotną drogę do odległej Polski. Proszę się nie dziwić, gdy powiem, że mieliśmy łzy w oczach, gdy na wspaniałym dworcu kolei Północnej żegnaliśmy przyjaciół z „Dżonson Club'u"; Finlandia stała się naszą drugą ojczyzną — na to już nic nie poradzimy...

Opuszczając ich mówiliśmy im dowidzenia... I gdyby ktoś był nawet pewien, że ich więcej nie zobaczył, musiałby tak powiedzieć. Stali się nam braćmi... Tak samo jest z ich ojczyzną, kto raz jedyny ją ujrzy, żegnać ją musi tak, jakby niebawem miał powrócić... a więc dowidzenia Finlandio!

Tad. Duszyński, G. P. R. T.

NA TROPACH SMĘTKA



Wyszła w 1936 r. książka, zapewne mało znana szerszemu społeczeństwu, p. t. „Na tropach Smętka" — Melchiora Wańkowicza. — Książka ta wywołała rewolucję w kole poważnych literatów; nastąpiły w przeróżnych czasopismach wzmianki o niej i nadzwyczaj pochlebne recenzje, a poetka nasza, Iłłakowiczówna, napisała wręcz, iż jest to „najpiękniejsza książka, jaką przeczytała w 1936 r..." „Na tropach Smętka" to rzeczywiście wielki czyn społeczny, książka wszechstronnie omawiająca kwestie, które nas, Polaków, zajmują, mianowicie stosunki polsko-niemieckie na terytorium Prus Wschodnich, teraz tej prowincji Niemiec, która stanowiła szmat ziemi należącej do Polski. Są to przecież ziemie zamieszkałe przez naszych dzielnych Mazurów, których germanizacja jest najważniejszą sprawą dla Rzeszy.

O stosunku „Kreisleiterów" (kierowników powiatu) do ludności mazurskiej pisze autor: „Skoncentrowany, nieubłagany atak, dążący do zniszczenia jednostki, która się zdradzi z najsłabszym odruchem polskim, jest metodą". I jeszcze: „Uważam, że uświadomienie sobie faktu, iż ludność polska siedzi na tamtych ziemiach od siedmiuset lat i od siedmiuset lat daje sobie radę bez opieki polskiej, może i powinno mieć w społeczeństwie polskim miejsce". A więc polskość w duszach Mazurów jeszcze nie wygasła, mimo stosowanych represyj ciągle wypływa na wierzch. Mazur będzie rozmawiał wszędzie po niemiecku, w domu zaś odzywa się pełną uroku mową „mazurską", pomimo, że każdemu powie: „ich bin ein Deutcher" (jestem Niemcem), jednak człowiek, który przyjechał z „Warszawy", wywrze na niego magiczny wpływ.

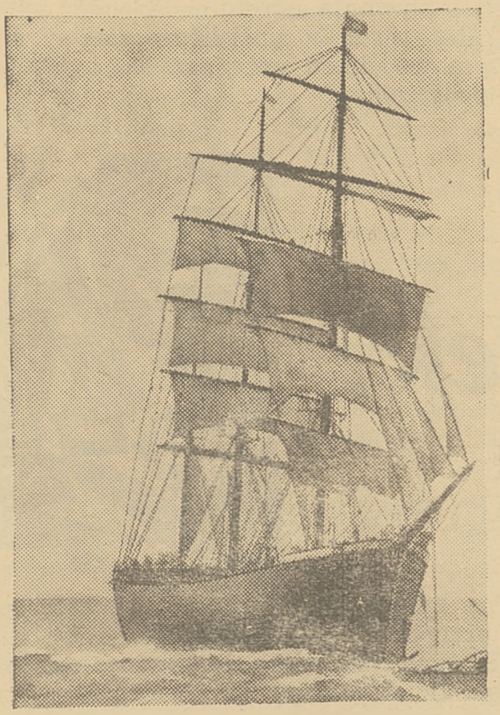
Podróżuje sobie autor po Prusach to szlakami wodnymi na kajaku, to autem z córeczką swą, a my wraz z nim przeżywamy wrażenie, roztrząsamy problemy, jak w kalejdoskopie zmienia się tło krajobrazu, — autor wraca do przeszłości historycznej danej miejscowości, wiąże ją z jakimś faktem dziejowym, a wszyst-

ko opowiedziane prześlicznym językiem. Styl ten, to wspaniały przykład stylu reporterskiego, na którym można by się uczyć pisać — ubarwiony miejscami świetnym humorem (scenki „rodzinne“ z córeczką, niesłychanie miłe). Autor pomaga sobie w angażowaniu czytelnika w przygody turystyczne ilustracjami. — „Książka ta — jak pisze Jan Wiktor — to prawda widziana i przeżyta w sercu twórczym, to głownia, rzucona z mroków przez granice ku Polsce“. Książka ta pociąga nas ku sobie swym obiektywnym podejściem do sprawy, nie narzucaniem nam poglądów, „tyle w niej głębokiego sensu polemicznego, połączonego z szlachetną wiarą w zwycięstwo słuszności“ (Kaden Bandrowski), jest wreszcie „czymś nowym: jest przeżyciem“.

„Na tropach Smętka“ osiągnęło rekordową liczbę wydań, mianowicie pięć — ilość jeszcze nie spotykaną.

M. Jarca, G. P. R. T.

PIEŚŃ MORZA.



Pieśń błogosławi bujnemu życiu fali,
jak wiosna hoża — okwiecoynm sadom;
błogosławi lazurowi wysokiego nieba,
które przegląda się w wodnej przestrzeni,
obramienionej wschodem i zachodem...

Pieśń słucha śpiewu srebrnych łanów,
które gną się w słońcu, jak białe mew skrzydła;
wzbudza bolesną tęsknotę za tą dalekością,
gdzie błękit całuje zimne wargi morza...

Pieśń duma o przejmującej cichości,
która ukołysana szeptem fal, — uśnie.
Pieśń odezwie się niespokojem głębin
i przed burzą zmroczy się — jak niebo...

Pieśń tryśnie ognistym zygzakiem błyskawic,
przeorze nieba skroń: od brzegu do brzegu,
zakrzyczy gardłowo tysiącem wichur;
strwożona piorunową Jowisza prawicą,
uderzy w pokorną nutę pokuty i płaczu...

A gdy zamilknie zbuntowanych żywiołów gniew,
rozsnuje się cicho — jak przędza pajęcza —
ta Pieśń odwieczna, co dzień inna, co dzień nowa,
błogosławiąca życiu fali — Pieśń morza!...

Ski... G. P. H. S.

Fragment z wycieczki nad morze.

Było już po południu, gdy przewodnik poprowadził nas do basenu „Marynarki Wojennej“. Mały stateczek, który służył jako prom, przewiózł nas przez basen zewnętrzny na teren wojskowy. Tłok na promie był ogromny, bo jechały wraz z nami koleżanki z Wilna. — Szybko wielu z nas przedzierzgnęło się w rodowitych Wilnian i śpiewną mową zaczęło wychwalać piękno kresowego grodu i jego mieszkanek. Jednak brzeg przeciwległy przerwał „wenecką“ idyllę, bo tu nasze drogi rozeszły się. W basenie pierwszą z brzegu była łódź podwodna „Żbik“. Stała zwrócona tyłem do nabrzeża, bez ruchu, długa, wąska, podobna do grzbietu ryby, wystającego z wody. Jakiś bosman, ogromny jak góra, objaśnił nam sposoby zanurzania, wynurzania, poruszania się oraz sterowania.

Nieco później przybyliśmy łódką do „Bałtyku“. Jest to okręt zamieniony obecnie na szkołę i koszary. Zwiedziliśmy sale wykładowe, znajdujące się pod pokładem. Oglądaliśmy zawieszone na ścianach tablice, pokreślone przeróżnymi znakami, a w oszklonych szafkach miniaturki okrętów wojennych państw obcych. Pięknie urządzona była część oficerska, szczególnie jadalnia i gabinet. Nikt nie spodziewał się ujrzeć na okręcie wojennym dywany, stylowe meble, lub kredensy z zastawą szklaną. Na nasze zdziwione spojrzenia marynarze odpowiadali, iż to urządzenie jest jeszcze zbyt skromne w porównaniu z urządzeniem okrętów francuskich.

W kwadrans potem zwiedzaliśmy chlubę Polskiej Marynarki Wojennej — O. R. P. „Grom“. Zgrabna, niska, wąska i długa syl-

wetka stwarza przeciwieństwo dla „Bałtyku“. Dziób lekko pochylony nad wodą sprawia wrażenie, że statek ma ruszyć za chwilę, a drżące na wietrze linki anten potęgują je jeszcze. Po nieco pochylonym trapie przechodzimy na pokład i dostajemy się pod władzę i opiekę marynarzy. Ci, dumni ze swego nowego okrętu, oprowadzają nas po pokładzie. Pokazują działa przednie, tylne, dolne, górne, pokazują, gdzie mostek kapitański, gdzie kabina sternika, a gdzie radiotelegrafisty. Jakiś marynarz zaprowadził kilku z nas do kabiny sternika. Tam pierwsze nasze spojrzenia szukają koła; jest ono tutaj małe, drewniane, otoczone rączkami, politurowane, wmontowane w ścianę przednią. Przenosimy oczy i uwagę na inne przyrządy. Kilka kompasów, zwyczajne okrętowe i elektryczne, regulatory szybkości, telefon, drzwiczki alarmowe, to już wszystko. Mimowoli wzrok teraz wybiega z kabiny, przelatuje nad dziobem okrętu, ślizga się po morzu i biegnie do krańców horyzontu, a ręka opiera się na kole sterowym.

Wracaliśmy z kilkoma marynarzami, którzy, jak przystało na gospodarzy, odprowadzili nas do promu. W drodze opowiadali nam o swym życiu. O tym, że podczas rewii koronacyjnej w Anglii polskie okręty najlepiej sprezentowały się obok niemieckich i japońskich, jak to pewien marynarz, Polak, aby wygrać zakład poobgryzał klamki na statku szwedzkim, że wyżywienie mają świetne, a żołd wysoki i wogóle morowe życie; a pracę ciężką podczas pływania okrętu.

Przy promie musieliśmy rozstać się. — Naszym wspólnym pożegnaniem były słowa: „Do zobaczenia!“.

S., G. P. R. T.



Szmotek.



NOWELA.

„Szmaty! Szmaty!“ — zawołał Maciej Kierat zachrypniętym głosem i zatrzymał konia przed chałupą, z której wybiegło kilkoro dzieci. — „Mocie szmaty, a dejcie kokotka“ — krzyknął młody wyrostek, rzucając trochę łachmanów do wózka. — „A mnie dejcie igłę...“, „mnie zegarek“, „a mnie pirściunek“ — wołały dzieci, cisnąc się do wozu „szmaciarza“. Nawet Górkowo wyjrzała z izby i krzyknęła na Tereskę: „Tereska, ruchej się, dyć Szmotek przyjechali, a jo nici nimum“...

Maciej zebrał szmaty, dał, co komu się należało, cmoknął na siwkę i ociężałym krokiem powlókł się za skrzypiącym wozem. „Dość na dzisioj — pomyślał. — I tak, dzięki Bogu z 5 złotych zarobił, a przecie i kobita z jarmarka co przyniesie, 2 warchloki pognała spaśne, jak dworskie. Jutro rano pojadę do lasa i kupię tyn fajny budulec, co to przy leśniczówce leży. Chałupa na zimę by była.“

„A pieruna! — przeciągnął się — ale człek zmógł; po grosiku, psiachmać, od gęby sobie i dzieciom odbieroł, a tera jakby nie było, cały tysiąc w skrzyni leży. A cinżko było — westchnął — hetta, siwo! hetta — krzyknął na konia — cinżko było! — pogrążył się dalej w wspomnieniach. — Czworo dzieci w chałupie na komornym i dwie morgi, sum pioch, jak przypiekło, to i słómki nie było. Roboty w Mimcach zamknięte. Roboty znikąd; a żryć trzeba. Dzieci wołają, kobita chora, z chałupy za komorne chcą wyrzucić, a roboty nima. Och, że wtedy, psiachmać, nie poszedł kraści i mordować ta. ...Pon Bóg wi, co czyni. Gdy już głód aż w gardle palił i skręcał kiszki... jedno dziecko umarło, a kwilenie i płacz innych wypędził go z chałupy.... wtedy nagle zobaczył Icka Szmaciarza... „Co, un wyżyje z szmat, a jo bym mioł zdechnąć. Nie! Nie!“ Ruszył z taczką. — „Pon Bóg poszczęścił, dobre ludzie pomogli. No i żyje.“ Bo przed tym z taczką od wsi do wsi, szedł w upał, czy mróz, choć czasem nogi mdlały, w dołku mdliło z głodu, ale zmógł, zmógł wszystko. Powoli, powoli i kunia sobie kupił i baba wydobrzała z choróbstwa, i tak we dwoje, un z szmatami, una od jarmarka do jarmarka, trochę handlym, trochę służbą zarobiła i duma przynosiła. Na nogach stanęli. A nawet ciułali, ciułali i uciułali. Najpierw grosze, potym i na złotówki trzy było mieniać. Pamięta — jak to pierwsze dwódziestozłotówki do kuferka chował. — A tera cały tysiąc... w papierkach na dnie kufra leży. „Naharowołem się tom się naharo-

woł, ale przecie we własnej chałupie bede, nie jak komornik na wycugu“ — mruknął pod nosem. — „Padali, by do miasta, do kasy wsadzić. A bo to w kuferku nie pewne, nikt nie wie, a w mieście jeszcze oszukają i tyla.“

„Wio, siwo! Wio! — krzyknął na konia i świsnął wesoło batem. Nagle spojrzał na wschód gdzie różowa plama rozlewała się po niebie i zarzyła dziwnym blaskiem. — „Co u licha, przecie to wschód“ — obrócił się do tyłu i ujrzał ostatnie blaski zachodzącego słońca. Spojrzał na wschód. Czerwona łuna coraz więcej wżerała się w noc nieba. „Złe mnie omotało, czy co?“ przetarł oczy. Nagle coś targnęło w duszy niepokojem. „Pożar! Pożar! Koski się palą!“ Podciął szkapę. „Prędzej! Prędzej!“ W galopie minął las. „Tak! Tak! „Koski się palą. Jezus! To gdzieś koło mej chałupy!“ — Zostawił wóz, zostawił konia i rzucił się na przełaj. Łuna na niebie rozlewała się coraz bardziej i pałała złośliwym żółtym blaskiem.

Wybiegł zza wzgórza i stanął oniemiały. Paliła się jego chałupa. Ogromne, żółte jęzory ognia pełzły po dachu, to jak węże z sykiem wyskakiwały w górę, to znów spadały na strzechę, przeżerały ją na wylot, dysząc tumanami dymu i ziejąc popiołem. Czasami wiatr zwinął je w syczące kłębowisko i jak piekielnym wiechciem, wytryskał w górę i malował strop nieba złowrogą łuną. Kilkunastu chłopów hakami rwało dach i przyduszało ogień. Maciej patrzał... Czuł w sobie ten ogień, ten pożar straszny, który piekł ciało, targał trzewia i i zmieniał wszystko na popiół.

„Piniondze w kuferku!“ — rzucił się naprzód, rozepchnął tłum, wpadł do wnętrza... czarny dym wyżerał oczy, zatykał krtań, a szalone gorąco piekło skórę... przebiegł sień. Chciał wejść do izby, gdy nagle spalony strop z hukiem zwalił się do wnętrza.

Maciej cofnął się przerażony. Jacyś ludzie chwycili go za bary i wyciągnęli na dwór. — Czarny od dymu, z opalonymi włosami, potarganą odzieżą i czerwonymi, lśniącymi od łez oczyma, wyglądał strasznie. Popiół, popiół czuł w ustach, popiół w duszy i popiół w sercu. Tępy, zwierzęcy ból błyskał w oczach, a sine usta powtarzały:

„Tysiunc złotych“! „Tysiunc złotych“!

— — — — — — — — — — — — — —

„Szmaty“! „Szmaty“! „Dejcie szmaty“!

„Co to, Macieju, z taczką tera jeździcie? — zagadnęła Tereska ,rzucając trochę łachmanów.

„A no, spoliłem się — mruknął ponuro Maciej — trza zaczynać od nowa“.

W. Kar., Wieluń.

W OCZEKIWANIU.

Godziny upływały mi cicho i niespostrzeżenie, niby myśl spokojna i beztroska. W głowie czułem uparty szum i słodki ciężar sennego znużenia. Powieki, niby czarne kotary, spadały mi zwolna na oczy. Czułem, że skrada się ku mnie cicho sen, a nie miałem mocy wyplątać się z jego zwiewnych macek. Niezmiernym wysiłkiem woli uniosłem zlekka powieki. Popłynąłem sennym wzrokiem w dal pokoju i zatrzymałem się na białej, tajemniczej tarczy zegara. Teraz dopiero usłyszałem, że szemrze coś — i coś gada... Już niedługo — pomyślałem — już niedługo... Zegar mi przytakiwał coraz ciszej i ciszej: tak, tak... tak, tak... — I wtem, gdy już jego szept miał się znowu rozpłynąć w sennym mroku, zaszumiało coś w starym pudle, zachrobotało, zaszemrało dziwną nutą — i niby znak tajemniczy, niby hasło zwiewne, niby głos odali — padło srebrne uderzenie wahadła... Za nim drugie, trzecie... i dalej... następne... Jeszcze jedne tony nie umilkły, a szły już inne, łączyły się, potężniały... Słyszałem już tylko jeden gong potężny, jedna surma potężna huczała mi w głowie dziwną nutą... Już idzie — pomyślałem z ulgą radosną — już idzie... A on szedł naprawdę: nieznany i tajemniczy, oczekiwany, a wzbudzający dreszcz niepokoju... Niby zwiewny — a mocarny, idąc opanowywał tę ziemię i chaty... i ludzi... i wszystko... Wydaje się, jakby niczym był — i wszystkim... Jakoś dziwnie czuje się człowiek w chwili jego przybycia...

Kto to?... To... on... Nowy Rok...

Habinowski, G. P. H. S.

URODA.

Gdy piękno wyrazów wykwitnie,
jak tęskne źrenice,
poszeptem zachwyci sciszonym
i łkaniem kołysze tajemnym
uczucia wiośniane.
W urodzie rozwianych słów ducha,
ukrytych głęboko,
coś czeka, by rzec ją przyjaźnie,
by dać jej, dać dźwięki przeczyste,
jak lilie, nad-białe,
jak strumień, co z górskich trysł źródeł.
Wyrazom, co same się zrodzą
i same wykwitną,
dać postać — niekłamaną, wspaniałą!
O, mowo! „Nad śnieg stań się białą!“

Ski... G. P. H. S.

Ideowe źródła współczesnego bezbożnictwa.

Jak wiemy, ateizm pozytywny usiłuje i w teorii obalić nietylko wiarę, ale także przekreśla samo pojęcia Boga i pojęciu temu wytacza pełną pasji walkę.

Taki właśnie ateizm stanowi jedną z głównych cech bolszewickiego komunizmu. Współczesny komunizm jest, jak wiadomo systemem totalnym, atakuje więc całokształt dotychczasowego ustroju, usiłuje przebudować ustrój— jest więc rzeczą jasną, że tak wszechstronny prąd płynie ze źródeł. Przy analizie zatem bolszewickiego ateizmu trzeba uwględnić rozliczne jego przesłanki. Bardzo doniosłą rolę odgrywają tu przesłanki etyczne, bo jak doświadczenie wykazuje — kryzys moralny doprowadza często do kryzysu wiary. Zalew brudnej fali rozpusty, rozstrój spójni rodzinnej, agoizmu wyuzdanych instyktów, odgrywają wielką rolę w genezie współczesnego bezbożnictwa. Cóż dopiero mówić o nienawiści klasy wyrosłej na pożywce niesprawiedliwości społecznej. Nędza i bezrobocie milionów budzą żądzę odwetu. Jakże więc łatwo agitatorom przewrotu skierować tych ludzi przeciw samemu — Bogu.

Źródło współczesnego bezbożnictwa z punktu widzenia filozoficznej idelogii jest najważniejsze. Bo nawet taki filozaf jak Trocki przyznaje, że wszystkie ruchy płyną z idei.

Tak samo przedstawia się sprawa z komunizmem. W współczesnym bowiem bezbożnictwie tkwi demoniczna siła idei. Ostoją tej siły nie są bynajmniej osoby. Komunizm przeszedł przecież liczne masakry, a jednak trwa i działa. *Komunizm więc stoi i działa ideą.*

Idea komunistyczna apeluje z wielką siłą do zmysłów instyktów. Dlatego też komunizm jest nie tylko doktryną, ale i zjawiskiem skłębionych pasji i rozżarzonych uczuć i pożądań. Ten przejaw namiętności nadaje komunizmowi zabarwienie mistyki rewolucyjnego przewrotu, który ma zapoczątkować okres raju dla proletariatu — suwerena.

Doktryna komunizmu obejmuje zagadnienia ekonomiczne, społeczne i polityczne, ale przede wszystkim narzuca swą filozofię. *Komunizm ma rzekomo oświecić, uspokoić i zadowolić człowieka w dążeniu jego do wyświetlenia pytania: jekim jest on bytem.* Tą filozofią komunistyczną jest markizm, a właściwie zasadnicze dzieło Karola Marksa „Kapitał“. Dzieło jest dla komunisty tym. czym dla prawdziwego katolika „Summa“ św. Tomasza z Akwinu.

d. n. *J. Pindych G. T. S. S.*

Z życia Sodalicji Mariańskiej G. P. R. T

Jakie cele winna spełniać Sodalicja? — Czy tylko pogłębianie zasad Chrystusowej wiary? Inne również winny przyświecać nam, Sodalisom, szczytne hasła. Jedno z takich zrealizowała nasza Sodalicja. Zarząd postanowił urządzić „Opłatek“ sodalicyjny, połączony z normalnym zebraniem miesięcznym. Ale jakież tkwi w tym hasło? Hasło zbratania się Sodalisów, zbliżenia ich i pogłębiania szlachetnej sodalicyjnej koleżeńskości! Hasło, któremu przyświeca wielka, szczytna idea, idea miłości, użyteczności i wypływającej stąd doskonałości.

Sod. prezes Bednarski, otworzył zebranie, na którym byli obecni rodzice i przedstawiciele innych Sodalicyj, pragnący zapoznać się z pracą naszej Sodalicji. Podniosła chwila odczytywania Ewangelii św., której obecni wysłuchali w skupieniu. — Przekonywujący referat sod. L. Bednarskiego „Wytrwałość sodalicyjna“ wywarł na zgromadzonych silne wrażenie. Referat ten, dobitnie odczytany, zapadł głęboko w serce każdego. Referent przedstawił te wszystkie bolączki dzisiejszego życia, które Sodalis winien zwalczyć wytrwałością w swych poczynaniach i dążeniach.

W „kąciku apologetycznym“ wystąpił sod. Plesiński, który przekonywująco udowodnił że Chrystus Pan jest Bogiem. Przemówienie sod. Plesiński, który przekonywująco udowodnił, że nem oklasków.

Wreszcie w „wolnych wnioskach“ Sodalisi Skurczyński i Przygodzki dali wykaz komunizujących pism i prasy pornograficznej.

Po zakończeniu uroczystego zebrania, — chwila jeszcze bardziej podniosła i wzruszająca. Prezes, w szczerych i gorących słowach, zwracając się do p. dyr. Artymiaka, a następnie do niestrudzonego ks. Moderatora Koźlickiego, złożył serdeczne życzenia, na które odpowiedział ks. Moderator, nawiązując do tradycji choinki, a p. Dyrektor poruszył w gorących słowach zagadnienie ważnej misji Sodalisów w życiu, pełnym często burz i przelotnych błyskawic.

W części artystycznej wystąpił z deklamacją kol. Salaburski, utwory fortepianowe odegrał sod. Miecznik.

Choinka zbliżyła nas... czuliśmy się bliscy...
Czy cel nie został osiągnięty,
Brawo zarząd!!! *Sod. St. Art.*

O TEATR SZKOLNY.

Dużo się mówiło i mówi o teatrze w Częstochowie; mieliśmy na łamach „Świata Szkolnego“ dużo trafnych recenzyj, mieliśmy autentyczne wywiady naszych kolegów z niektórymi miejscowymi artystami. Z tego można wnosić, że powszechna opinia zajmuje się i ocenia znaczenie kulturalne i rozrywkowe teatru. Jednakże, czy ten teatr, jedyny w Częstochowie, potrafi zaspokoić potrzeby świata uczniowskiego? — Przecież nie wszystkie sztuki są dla nas dozwolone, a tych ostatnich jest bardzo mało. Nasz teatr Kameralny, jako że jest jeden, nie może zbyt często wystawiać sztuk w rodzaju „Pan Damazy“, ponieważ musi się liczyć z szerszym ogółem publiczności, niż są uczniowie, z ogółem, który wymaga sztuk lekkich, często zmanierowanych tanim dowcipem, dających wiele emocji i wrażeń, a mało korzyści kulturalnych. Publiczność zaś tę stanowi znana część społeczeństwa częstochowskiego, niewybredna i nie hołdująca zbytnio poczuciu estetycznemu. Ktoś tam słusznie się wyraził o dzisiejszej publiczności, iż dla niej sztuka przestaje być zajmującą, gdy na scenie nie paraduje negliż.

Ale kwestię braku dostatecznego zaspokojenia potrzeb i kwestię współdziałania międzyszkolnego na jakiejś płaszczyźnie kulturalnej można rozwiązać w dość prosty sposób, mianowicie: uczennice i uczniowie powinni sami popróbować swych sił, powinni pokazać, że talenty młode nie drzemią, że są gotowi stworzyć teatr amatorski, międzyszkolny, który by braki techniczne i brak rutyny scenicznej pokrył młodzieńczą werwą i szczerym przejęciem się swą rolą.

W naszej Częstochowie bluszczowy wieniec Muzy teatru dzierży godnie w swym ręku jedynie I Gimn. żeńskie, które ukazało nam ostatnio arcydzieło Szekspira „Sen nocy letniej“. Spektakl wykonany nad wyraz dobrze. Przed okiem widza przesuwały się w tęczy barwnych kostiumów i reflektorów eteryczne postacie Elfów i innych bogiń leśnych; jak w marzeniu rozsnuwała się przepiękna baśń o wiecznie aktualnym temacie: miłość i zdrada. Ogólny bilans wrażenia dodatni. A jednak coś uderzało widza, atmosfera monotonności wisiała w powietrzu, sprawiała wrażenie, że patrzy się na niemy, barwny film. Czegoś brakowało — a co, to każdy potwierdzi: jakiejś ostrzejszej intonacji, jakichś kontrastów głosowych, — brakowało poprostu głosu męskiego wśród ogólnego nagromadzenia głosów kobiecych, które nużą ucho swą wysoką skalą. A czyż nie lepsze wrażenie wywarłaby sztuka, gdyby role męskie zagrali uczniowie, a kobiece uczennice? — bezsprzecznie tak. Realizacja taka obudziłaby większe zainteresowanie, pobudziłaby ducha współpracy międzyszkolnej, której tak mało na terenie Częstochowy. Jedynym łącznikiem jest „Świat Szkolny“, a to nie wystarcza.

Zbliżenie między gimnazjami na jakiejkolwiek platformie musi nastąpić, a że najodpowiedniejszym środkiem do tego jest teatr, obejmujący swym zakresem „Kółka dramatyczne“ poszczególnych gimnazjów, przeto apeluję do „artystycznych“ serc Koleżanek i Kolegów z prośbą o zorganizowanie u siebie wymienionych kółek i zbliżenie się wzajemne za pośrednictwem redakcji „Świata Szkolnego“.

M. J.

Uciekła mi przepióreczka

KOMEDIA W 3 AKTACH ŻEROMSKIEGO.

„Uciekła mi przepióreczka“ należy do tych wspaniałych komedii, które nasuwają moc myśli, refleksyj i opanowują naszą wyobraźnię, przez kilka dni zmuszając ją do powolnego przemyślania problemów w sztuce poruszanych. „Przepióreczka“ nie podoba się, gdyż byłoby to wyrażenie za mdłe, za codzienne, płaskie, ale ona porywa widza, upaja, jak mocne wino, stwarza nowe światy ducha, wzbudza wiarę w przyszłość, wiarę w bezwzględne normy moralne, jako podstawy każdego czynu.

Ludzie Żeromskiego są ludźmi siły, ludźmi zakrojonymi na miarę Prometeuszów, którzy zwyciężają lub giną, ale nigdy nie poddają się, nigdy cofają się przed trudnościami i walką z własnym ja.

I do tej też rodziny silnych duchów należy Przełęcki, ogarnięty ideą niesienia kultury i oświaty na wieś polską.

Zgromadził on koło siebie ludzi dobrej woli, profesorów i docentów uniwersytetów, którzy wraz z nim prowadzą wykłady wakacyjne dla nauczycieli. I oto w chwili, kiedy jego ideały, zakrojone na szeroką skalę, zaczynają się przyoblekać w realne formy, gdy księżniczka, pozyskana przez jego zręczność, ofiaruje zamek i przyrzeka pieniężne poparcie, gdy minister przybywa, by obejrzeć jego dzieło, wtedy to zwierzenia Smugoniowej podważają tak długo wznoszony budynek i stawiają go przed pytaniem: własne szczęście czy dobro idei. — Jeżeli pójdzie za głosem ślepej miłości, to splami, może nawet zniweczy dzieło swego ducha, a jeżeli odda się idei, — to zgruchocze własne szczęście, złamie życie ukochanej i skrzywdzi Smugonia. W duszy Przełęckiego rozgrywa się straszna walka, walka tym dramatyczniejsza, im cichsza, im więcej ukryta pod powłoką szyderstwa. Z jednej strony miłość ukrywana,

przyduszona, ale nie mniej silna, z drugiej — wyznawane zasady moralne i praca dla idei.

Jednakże z chwilą, gdy w grę zaczęła wchodzić krzywda Smugonia, Przełęcki decyduje się rozwiązać węzeł w sposób dosyć ryzykowny. Poniża siebie w oczach ukochanej, obdziera swą duszę z ideałów wobec kolegów, naraża dzieło swego ducha na zgubę, stawiając wyżej szczęście człowieka skrzywdzonego. I oto w tej wspaniałej scenie aktu III, samoupodlenia, my jedni (oprócz Smugonia) zdajemy sobie sprawę, iż w jego duszy rozgrywa się cichy, wewnętrzny akt bohaterstwa, poświęcenia i miłości. Im wyżej się wznosi duchowo, tym więcej ryzykuje byt tej ukochanej pracy. Im zaś bliższy jest zwycięstwa, tym nędzniej musi się przedstawić swym towarzyszom. Zrozumiał on, że jedynym wyjściem z tej sytuacji jest wycofanie się tak, aby raczej dzieło zniszczyć, niż budować je na krzywdzie Smugonia. Z drugiej strony wiedział, że jeżeli jego idea jest słuszną, to i ten jeszcze atak ze strony swego najgorliwszego wyznawcy przetrzyma, a jeżeli jest ułudą, to i tak runąć musi. I dlatego wybrał drogę najlepszą, choć najtrudniejszą, drogę podeptania własnego ja, własnej ambicji i przyszłej sławy.

W końcu aktu III dopina swego. Idea, której był heroldem nie tylko przetrzymała ataku krytyki i szyderstwa, ale wzmocniła się zespołem ludzi, którzy wyzbyli się egoistycznych pobudek i oddali się całkowicie na jej usługi. — Wiarą w przyszłość, wiarą w pracę kończy się sztuka. Przełęcki zwyciężył, a tylko uciekła mu przepióreczka.

— — — — — — — — — — — — —

Samą budowę sztuki cechuje wprost niezwykła klasyczność. Jedność miejsca, czasu i akcji wypływa z naturalnego biegu fabuły i nie ma w sobie nic sztucznego. Akcja rozgrywa się w ciągu kilku godzin i chociaż w akcie II rozczłonkowuje się na akcje miłosną i społeczną ,to jednak ta miłość wypływa z pracy ideowej i w akcie III zespala się i tworzy klasyczny typ jednolitości akcji.

Jednakże budowa sztuki z innych względów jest również ciekawa i oryginalna. Mianowicie wysoka dramatyczność uzyskana przez celowe opuszczanie kurtyny w momentach największego napięcia. Autor zaciekawia widza zakończeniem aktu I, a urwanie aktu II wręcz zmusza do zastanowienia się, w jaki sposób Przełęckiego, i wreszcie zaskakuje nas nieprze-Przełęckiego, i wreszcie zaskakuje na nieprzewidzianym, ale równocześnie celowym postępowaniem bohatera w akcie III. Z samej budowy sztuki główny punkt ciężkości spoczywa na postaci Przełęckiego, którego gra pan Wojtecki.

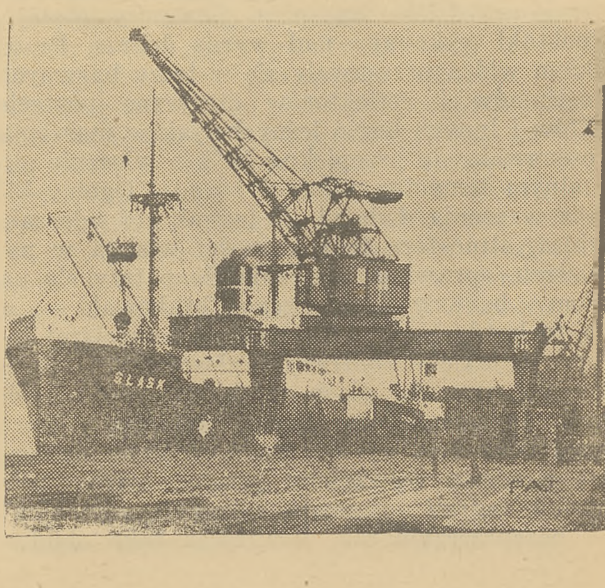
Pan Wojtecki jako artysta reprezentuje wysoką klasę rutyny i kunsztu aktorskiego, który oddał mu nieocenione usługi w interpretacji jego roli, roli trudnej i zasadniczej. Właściwie cały akt I, z którym autor obszedł się trochę po macoszemu, trzymała gra p. Wojteckiego, który podkreślił słusznie skłonność Przełęckiego do padrwiwania i dowcipkowania tak z siebie jak z swych kolegów, szanownych profesorów. Szkoda, że lekka przesada w gestykulacji i modulacji głosu raziła i psuła wrażenie. Akt II jest wielkim triumfem p. Łęckiej w roli Smugoniowej. Pani Łęcka przeciwstawiła kunsztownej grze p. Wojteckiego, młody talent i szczerę przejęcie się swoją rolą. Smugoniowa w interpretacji p. Łęckiej przemawia do nas wdziękiem swej prostoty, szczerością uczucia, tragizmem marzenia o szczęściu i ideale. Gra p. Łęckiej w niektórych momentach była tak bezpośrednia i szczera, iż można było uwierzyć, że w tej chwili rzeczywiście kocha się w Przełęckim.

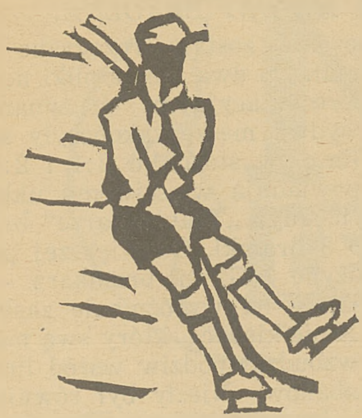
Wspaniałą klasę gry pokazał nam p. Brodzikowski w roli Smugonia, którą zagrał z akcentem dramatycznym i szczerym tragizmem. Rola księżniczki wypadła blado. Reszta zespołu na poziomie. Dekoracje proste, ale efektowne. Przedstawienie szkolne poprzedziła przedmowa p. Schäffera, który w sposób zręczny wysunął ideologię Zeromskiego z samych tytułów jego dzieł, a nawiązując do „Przepióreczki“ scharakteryzował postać Przełęckiego i podkreślił klasyczność budowy i zwycięstwo idei.

— — — — — — — — — — — — — —

Zachowanie się publiczności szkolnej pozostawiało, zwłaszcza za drugim razem, sporo do życzenia. Niektórzy zapomnieli, że nie znajdują się na placu piłki nożnej, ale w sali teatralnej, na sztuce poważnej i głębokiej.

Z. Żuk — G.P.RT.





SPORT



Z CYKLU: MONOPOL SPORTOWY ALBO SPORT MONOPOLOWY. TAK ZWANI SPORTOWCY.

Imię Polski jest rozsławiane przez niektórych „asów“ naszego sportu w najbardziej niegodny sposób. Wszyscy znamy aferę paryską, sprawę Tarłowskiego i Bratka, wiemy również o wybrykach Wilimowskiego i Góry, bo są to fakty, których nie da się ukryć ani zatuszować, istnieją jednak i inne sprawki naszych „reprezentantów“, o których się nie wie albo nie chce wiedzieć. Nasi kierownicy oszczędzają swoich pupilków i otaczają ich wyczyny (oczywiście pozasportowe) nimbem tajemniczości. Mimo to ludzie, stykający się z nimi, wiele ciekawych rzeczy opowiadają. I ja miałem możność obserwować zachowanie i prowadzenie się niektórych sportowców, pozwolę więc sobie z własnego sportowego pamiętnika kilka zdań przytoczyć.

Berlin...

Z przykrością skonstatowałem, że u większości naszych reprezentantów upojenie sportowe musi iść w parze z upojeniem alkoholowym. Dziwne to, ale, niestety, prawdziwe. Oto po meczu z Anglią, stojąc na dworcu, zauważyłem orła polskiego na czerwonym tle kołyszącego się na wszystkie możliwe strony. Po chwili spostrzegłem równie czerwone oblicze posiadacza tego godła i usłyszałem słów kilka w ojczystym języku wypowiedzianych, których jednak ze względu na brak miejsca, tudzież ich toczystość przytoczyć się obawiam. W szanownej osobie o tak płynnej wymowie rozeznałem naszego „super-asa“ wagi średniej, przyszłego mistrza Europy, bohaterskiego zwycięzcę Clarka — p. Henryka Ch... Pan ów uwielbiany, na nieograniczony termin z wojska wypuszczony, rangowany, kwiatami przyjmowany — tego dnia był wyjątkowo niedysponowany. Bo któż ośmieliłby się zabronić najsławniejszemu ze sławnych wchłaniać wodę ognistą w przeddzień walk o mistrzostwo świata. Przecież najlepszy bokser polski ma prawo czynić, co mu się żywnie podoba... (Widocznie alkohol oddziaływa kojąco na nerwy naszego mistrza.)

Częstochowa...

Przykład idzie z góry! Jakimś dziwnym trafem dowiedział się o niezawodnym środku sławnego kolegi — reprezentacyjny bramkarz. Oto bowiem w celu uspokojenia nadszarpanych ciągłymi wysiłkami nerwów, zażył na kilka godzin przed meczem odpowiednią dawkę „cudownego lekarstwa“ i leżąc w łóżeczku oczekiwał skutku. Środek okazał się w istocie niezawodnym. Pan A. wyciągnięty z łóżka w stanie wiadomym i odstawiony wbrew swej woli na boisko — bronił wspaniale. Już w kilka minut po gwizdku sędziego okazał napastnikom przeciwnej drużyny bezmierną wzgardę, puszczając strzał dziecinnie łatwy do obrony. Przecież reprezentantowi Polski nie wypadało bronić strzału jakiegoś tam Nawrota. Najlepszy bramkarz polski musi się szanować. Nie wypada mu wyciągać rąk do piłki kopniętej nogą starego weterana.

* * *

COŚ NIECOŚ O HOKEJU.

Przed kilkunastu laty rozpowszechniła się w Europie gra, zwana „bandy“, która jednak nie miała prawie nic wspólnego z dzisiejszym hokejem. Zawody rozgrywano według przepisów piłki nożnej, udział w grze brało 10 zawodników, a miast krążka używano piłki gumowej, którą uderzano kijami, używanymi obecnie do hokeja na trawie. Hokej w dzisiejszym pojęciu przedostał się stosunkowo niedawno do Europy, cieszył się jednak tak wielkim zainteresowaniem, że „bandy“ zostawała wyrugowywana momentalnie tam, gdzie docierał. Ciemny krążek z coraz większą szybkością i mocą uderzał w malutkie bramki lub sprawnie przesuwany tworzył zygzaki i półokręgi.

W Polsce rozpowszechnienie się tej gałęzi sportu natrafiło na trudności, związane z fatalnymi warunkami atmosferycznymi, które nie pozwalały na solidny trening, a tym samym przeszkadzały w osiąganiu dobrych wyników. Mimo to zawodnicy, rekrutujący się głównie

z warszawskiego A. Z. S., stworzyli zespół, który osiągnął wicemistrzostwo Europy, wyprzedzając szereg państw o starszej tradycji hokejowej. Warszawscy akademicy wzbudzili podziw zagranicy i utrwalili opinię o Polsce, jako państwie sportowo rozwiniętym.

* * *

ZAWIEDZIONE NADZIEJE.

Wniosek poznańskiej „Warty“ wywołał w sferach piłkarskich żywe zainteresowanie. — Wiadomość o ewentualnym powiększeniu ilości klubów Ligi państwowej dotarła również do Częstochowy i obudziła nadzieje entuzjastów naszej „Brygady“ na przypuszczalne wejście tej drużyny do „ekstraklasy“. Projekt „Warty“ nie uzyskał jednak aprobaty P. Z. P. N. Uznano natomiast słuszność projektu „Brygady“ o utworzeniu II ligi, jednak ze względu na trudności finansowe, związane z wprowadzeniem tego wniosku w życie, — postanowiono rozpatrzeć go raz jeszcze na następnym zebraniu. — Tak więc szanse uzyskania awansu przez częstochowską „Brygadę“ maleją do minimum, tym bardziej, iż debiut jej w mistrzostwach ligi okręgowej wypadł wręcz słabo.

* * *

AMERYKAŃSKA AWANTURA.

Amerykański boks słynie ze swych dziwnych praktyk, dzięki którym utrzymuje miano najlepszego w świecie. W Ameryce roi się od bokserów, którzy nie znaleźliby równych sobie w Europie. Jednak ta pozornie bezwzględna wyższość bokserów amerykańskich w praktyce zawodzi. Okrzyczani bowiem Amerykanie bardzo często ulegają nieznanym Europejczykom. Dlaczego tak się dzieje?

...Otóż w Ameryce nie walczą zawodnicy, ale menagerowie. Który menager ma większe stosunki w amerykańskim Zw. boks., tego pupilek zdobywa zaszczyty i pnie się ku górze. Stąd właśnie owe niespodzianki w Europie. — Amerykańskie zwyczaje odczuł najboleśniej na własnej skórze Max Schmelling, który po pokonaniu Louisa musi uznać obecnie jego mistrzowski tytuł i nie ma możności zadokumentowania swojej wyższości nad murzynem. — Trudno orzec, kto z nich jest lepszy. Moralnym mistrzem świata jest jednak bezsprzecznie Schmelling, który w swych licznych walkach rozłożył pretendentów do tronu bokserskiego, z Louisem na czele. Mimo to Niemiec musi pogodzić się z losem. Vis maior w postaci kadry „macherów“ amerykańskich nie chce oddać tytułu mistrza świata w ręce Europejczyka i nie prędko go odda...

Dziwny to boks, w którym decyduje nie umiejętność boksowania, ale umiejętność wykorzystywania stosunków.

* * *

SPOTKANIA MIĘDZY SZKOLNE.

W ubiegłym sezonie zostały rozegrane w charakterze nieoficjalnym dwa mecze piłki nożnej pomiędzy reprezentacyjnymi drużynami I i II „budy“. Obydwa mecze zakończyły się zwycięstwem II Gimn. w stosunku 2:1 i 2:0. Wyniki te nie odpowiadają właściwemu układowi sił obu drużyn, gdyż „Trauguciarze“ byli lepsi conajmniej o 3 bramki. Od większej porażki uchronił drużynę I Gimn. bramkarz. — Z drużyny zwycięzców na wyróżnienie zasługuje pomocnik — Kmicikiewicz, który swą mądrą i celową grą wzbudzał podziw wśród licznie zebranych sztubaków. Niezły był również bramkarz Lang i lewoskrzydłowy Kwapisz, zdobywca 2 bramek. Przebieg gry określił najlepiej kapitan drużyny II Gimn. słowami „My tylko cyk, cyk — a oni na hurra!“, podkreślając tym samym planowość gry swojej drużyny i bezcelowość akcji przeciwnika.



Kierownik działu sportowego.

* * *

Zgodnie z tradycją, koszykarze i siatkarze VIII kl. II Gimn. pokonali swych kolegów z I Gimn., udowadniając tym samym, że sport na terenie Gimn. Traugutta jest w stadium rozkwitu. Spotkanie w siatce rozstrzygnęli łatwo na swoją korzyść abiturienci II „budy“, mając przez cały czas gry zdecydowaną przewagę. Wynik 2:0. W piłce koszykowej nie poszło im tak łatwo. Do przerwy lekką przewagę ma drużyna I Gimn., po przerwie jednak przy bezustannym dopingu publiczności II „buda“ zrywa się do ataku i opanowuje zwolna sytuację. W okresie przewagi II Gimn. dochodzi do niemiłych zajść, które wywołują zdenerwowani zawodnicy I Gimn. Sędzia jest zmuszony usunąć z gry 2 graczy, na których miejsce wchodzą rezerwowi. Gra toczy się do końca przy stałej przewadze II Gimn. Sędzia odgwizduje zawody przy stanie 26:24. Z drużyny zwycięzców wyróżnił się Zabłocki i Jung, u pokonanych najlepiej wypadł Stępień.

Sęp. G. P. R. T.



Tajemnice gwiazdkowe.

Rzecz działa się w tej najpiękniejszej z krain — w krainie snu. Piękna i mądra wróżka ofiarowała mi w wieczór wigilijny czapkę niewidkę. W owej czapeczce, nasadzonej, mimo wszystko, zawadiacko na bakier, wędrowałam sobie z domu do domu i podglądałam pod choinki, by zobaczyć, czym kto został obdarowany. A ponieważ należę jeszcze do sfer uczniowskich, najchętnie przeto zaglądałam pod drzewka szkolne, gimnazjalne, pod drzewka osób bardziej znanych lub wybitnych w naszym sztubackim życiu.

I oto, co tam zobaczyłam:

Gimnazjum Państwowe im. H. Sienkiewicza, czyli I „buda" otrzymała w podarunku gwiazdkowym medal „za wierną służbę", za pracę, pełną poświęcenia i zaparcia się siebie, za pracę dla zwierząt ze swego ogródka.

Uczniowie II „budy" znaleźli pod swą choinką parę rasowych koni (co prawda owe konie nie są tak rasowe, jak ich auto!). Koniki te będą ciągnęły samo-chód (!) gimnazjalny, w czasie nauki jazdy, gdyż na męki tego szlachetnego pojazdu nie mógł żaden porządny człowiek dłużej patrzyć.

Klasa VIII z Gimnazjum Traugutta nie będzie potrzebowała przed bliską już maturą męczyć swych płuc ciągłym robieniem syreny, gdyż potężną syrenę fabryczną otrzymała już na gwiazdkę. Od kogo? — niewiadomo!

Uczniowie z Gimnazjum Społecznego za wzorowe zachowanie się na przedstawieniach szkolnych obdarowani zostali książeczką z obrazkami p. t. „Dla grzecznych dzieci".

Uczennice „Nauki i Pracy" znalazły pod pięknie ubraną choinką puchar p r z e c h o d n i Gwiazdki za rekordowo-mistrzowskie „puszczanie oka" ze swoich okien do okien II „budy".

P. S. — Owo „strzelanie okien" zmaterializowało się nawet w kilku stłuczonych szybach w gmachu II Gimnazjum.

Koleżankom z „Nazaretu" spadło z nieba zapewnienie od autora, że nie omieszka przybyć na premierę przedstawienia „Lilli Wenedy"; przedstawienia przygotowywanego tak solidnie i długo!

Gimnazjum J. Słowackiego, po wielu sukcesach na scenie teatru Sienkiewicza w dniu 24 grudnia otrzymała engagement od jednego z poważniejszych przedsiębiorstw filmowych. Już niedługo więc ujrzymy na ekranach kin częstochowskich filmy z udziałem fenomenalnych gwiazd, rodem z Częstochowy.

Autor wierszyka „Była sobie" z „przyległościami" na gwiazdkę dostał... „za swoje!"

Redaktorowi „Świata" przyniósł listonosz w dniu wigilijnym zapytanie od PAL.-u, czy przyjmie wawrzyn w uznaniu za niezwykłą płodność literacką, która znajduje swe odbicie na łamach naszego pisma.

Noc wigilijna jest krótka, dlatego nie zdążyłam zajrzeć pod wiele, wiele choinek, choć miałam wielką ochotę. Może obdarowani sami nam opowiedzą, co im Gwiazdka z nieba przysłała?

a. b. c., G. J. S.

Natchnienie i polityka.

Były czasy, kiedy zapomniane już wyrazy „pensjonarka" i „sztubak" przywodziły każdemu na myśl romantyczne spacery w ustronnych alejkach parkowych, pięknie oprawne pamiętniki, a przede wszystkim grube bruliony wierszy. W tych brulionach kryły się perły poetyckich uniesień młodzieńczego ducha; były tam i straszne wstrząsające obrazy cierpień w szkole i wizje szczęśliwych chwil, spędzonych z „nią", był huk gromów, rzucanych na Horacego, były najtkliwsze szepty, rozczulające zaklęcia słoneczne marzenia.

A teraz?

Mruczy młodzian niedźwiedzim głosem najnowszy szlagier, a ona w rączki klaszcze, uśmiechem go obdarza i „jakie to kapitalnie piękne!" — mówi.

Nie ma już Muzy uczniowskiej!

— Tak żałośnie tłumaczył mi się redaktor, gdy mu zarzucałem brak poezji w pierwszym numerze „Świata", który był bez zarzutu, po-

mijając tak drobne usterki, jak: brak myśli w artykule wstępnym, treści w dyskusyjnym, dowcipu w felietonie, satyry w satyrze, dobrego stylu w tłumaczeniu, oraz nie zważając na nadmiar mądrości w artykule „Sztuka a człowiek“, niesamowitości w noweli, ckliwości we „Wspomnieniach“, frazesów w „Przeglądzie prasy“, bujania (cała strona!) w wywiadzie z Boy‘em (4 słowa!), programowości w artykule sodalicyjnym, pominąwszy jeszcze układ i korektę.

Trudno wymagać, żeby redaktor pisał także i wiersze, wystarczy, jak 3/4 wszystkich artykułów wychodzi spod jego pióra, a resztę wymusza władczym słowem i przekonywującymi argumentami.

Tak było i teraz.

— „Ty napiszesz wiersz!“ — padły jowiszowe słowa.



Gdyby mnie ktoś zapytał o coniunctivus plusquamperfecti coniugationis periphrasticae passivae tertia persona pluralis, nie byłbym bardziej zdziwiony jego naiwnością. Ale widząc, że nie żartuję, tłumaczę mu:

— „Po pierwsze już od 18 lat nie pisuję wierszy, wiodę żywot bardzo prozaiczny, natchnień Muzy mi nie udzielają...“

— „Bez natchnień wiersze też można pisać!“

— „Ale do wiersza potrzebne są rymy, a ja jeszcze nigdy dwóch wyrazów...“

— „Rymy? Od czego słownik? A 30 tomów „Wieszczów“. Malutki plagiat, to pierwszy stopień do sławy. Plagiat... sława... wawrzyn... fotel w PAL‘u...“

Urzekła mnie ta wizja. PAL i ciastka, które mi redaktor obiecał jako honorarium — o to warto się pokusić. Przy tym wymagania były niewielkie: rymy, trochę rytmu, ale w treści żadnych aluzji, przenośni, symboli, które mogłyby być „politycznie podejrzane“ albo takie, które mogłyby zmienić tytuł „Świat“ na „Półświatek“. Oczywiście zdawało mi się, że nic łatwiejszego, jak taki wiersz napisać. Toteż po dwóch tygodniach wytężonej pracy ze słownikiem i „Wieszczami“ w ręku, po żmudnym wyszukiwaniu rymów i obliczaniu zgłosek, przynoszę redaktorowi pierwszy twór mego natchnienia. Czuję się przy tym w obowiązku podziękować tym wszystkim, którzy pomagali mi w szukaniu rymów (np. do wiersza: „Przepastna twych ócz głębina...“ — drabina, łysina, łacina, cielęcina i t. d.)

Wiersz ów zaczynał się tak:

„O wiosno, kiedy przyjdziesz zielona...“

Ocena redaktora była dla mnie zupełnie nieoczekiwana:

— „To jest wiersz? poezja? To jest polityka!“

— ???

— „Przecież to jasne, każdy się domyśli, aluzja jest tak przejrzysta...“

— „Nie rozumiem. —“

— „Przecież to proste: zielony — to kolor kupiectwa, kupiectwo to sklepy, sklepy to pikiety, a pikiety to polityka.“

Tak, rzeczywiście bardzo proste. Jakże ja mogłem to napisać!

— „Napisz jakiś wiersz sentymentalny, liryczny, tylko ostrożnie! Politycznie musi być czysty, jak perełka!“

Piszę więc:

„Tęsknota cień ponury na duszę mą rzuciła...“

Ten piękny liryczno-refleksyjno-sentymentalny wiersz wywołał głęboki wstrząs psychiczny u mego słuchacza, redaktora (o, potęgo prawdziwej poezji!), ale gdy on odzyskał mowę, ja z kolei oniemiałem.

— „To jest chorobliwy stan duszy! Brak ci krzepy! Szerzysz defetyzm, zwątpienie, niewiarę we własne siły! Rzeczywistość jest dla ciebie ponura, tęsknisz za jakimś przewrotem! Ha!“

— „Ale skądże... ja... nigdy...“ — zacząłem się tłumaczyć drżącym głosem — „nigdy już wierszy pisać nie będę!“ — zakończyłem desperacko.

— „Teraz właśnie musisz napisać wiersz, który by zmazał twoją winę — coś podniosłego, wezwanie do czynu, do pracy. Tylko nie plagiatuj „Ody do młodości“, nie radzę ci“.

Wiele trudu wymagała ta pokuta, ale owoc wydała wspaniały. Utwór ów wlałby tyle zapału do pracy w dusze uczniowskie, że nawet największy wielbiciel wolności wzdychałby z żalem opuszczając mury szkolne. Wiersz ów mógł tak przetworzyć psychikę ucznia, że każdy upajałby się nawet wynurzeniami miłosnymi Horacego, pisanymi w rytmie chodu objuczonego osła; poezja Słowackiego nie byłaby smokiem, który zazdrośnie strzeże „myśli przewodniej“, „stanu duchowego poety“ w wymyślnych wierszach; nawet zadania matematyczne nie byłyby średniowiecznym przyrządem do łamania głów — słowem, uczenie się przestałoby być przesądem, a zapanowałoby umiłowanie wiedzy, pracy, nauki...

Niestety, a może całe szczęście —wiersz ten zmarł zaraz po urodzeniu się.

Potężne to wezwanie do czynu rozpoczynało się gromkim okrzykiem:

„Hej! do góry wznieśmy ramiona!“

Redaktor krótko orzekł, że jest to tylko propaganda faszyzmu i frontu ludowego za jednym zamachem... ręki.

Ostatnią moją próbą poetycką były słowa, pisane w upadku ducha (Cicero!), w melancholii bezbrzeżnej (historia średniowieczna!) w przeczuciu zbliżającej się tragedii (matura) i słabnącą ręką (12-ta w nocy!):

„Czekam na ciebie z serca drżeniem przez osiem długich lat, kochana...“ i t. d.

Oczywiście mowa tu o maturze, co wyjaśniam, gdyby ktoś miał wątpliwości. A redaktor nie tylko miał wątpliwości, ale był nawet pewien, że oprócz polityki jest tu sprytnie ukryta aluzja do zakazanych przyjemności, jak spacery po Alei, zajadanie ciastek u Gospodarka etc.

— — — — — — — — — — — — —

A teraz powiedzcie: czy nie zasłużyłem na wawrzyn, fotel w PAL-u i ciastka?

J. S., G. P. R. T.

Protokół z zebrania porozumiewawczego zarządów „Kół pracy dla państwa".

Dnia 26 stycznia 1938 r. odbyło się z inicjatywy Koła Pracy Społ. Gimn. J. Słowackiego zebranie porozumiewawcze Zarządów Kół Gimn. J. Słowackiego, R. Traugutta, H. Sienkiewicza, Szkoły Handlowej i Szkoły Zaw. żeńskiej. Obrady toczyły się w miłej atmosferze pod przewodnictwem kol. W. Wżalikówny. — Zgodnie z porządkiem obrad, prezesi poszczególnych Kół złożyli sprawozdania z dotychczasowej działalności, która obejmowała nie tylko pracę samokształceniową, ale szła także w kierunku pracy realizacyjnej.

Pracę samokształceniową prowadzono przez referaty i dyskusje na aktualne zagadnienia ustrojowe, społeczne, gospodarcze. Przeważały tematy związane z osobą Wodza Naczelnego, jego stanowiskiem i rolą w państwie.

Praca realizacyjna obejmuje przeprowadzenie zbiórki na karabin maszynowy, czynną opiekę nad kresowymi i miejscowymi szkołami powszechnymi i t. d.

Po złożeniu sprawozdań, wykazujących (z małymi wyjątkami) celowość, rozmach w pracy i już osiągnięte poważne wyniki, dokonano wyboru stałej komisji porozumiewawczej, w skład której weszli: kol. W. Wżalikówna (G. P. J. S.) — przew., kol. Korombel (G. P. H. S.) — v.-przew., kol. J. Sikorski (G. P. R. T.) — sekretarz.

W wyniku obszernej dyskusji nad zorganizowaniem wspólnej akcji zbiórkowej na dar młodzieży dla armii postanowiono, aby każde Koło we własnym zakresie przeprowadziło tę akcję, nie wykluczając jednak ewentualnej współpracy Kół. Wskazano także na istniejącą możliwość zorganizowania ogólnych wieczorów dyskusyjnych, jako płaszczyzny bezpośredniej wymiany myśli i zbliżenia całej młodzieży częstochowskiej.

Należy się spodziewać, że zamierzenia te zostaną w niedługim czasie zrealizowane.

J. S.

Z prasy.

„ORLĘTA“ Nr. 5.

Numer 5 „Orląt“ jest w nowej treści b. różnorodny. Prof. St. Głąbiński w artykule p. t. „Pierwsze przykazanie narodowe“ przeprowadza głęboką analizę i wartościowanie ideii, jasno określając ideę naczelną: „Nie wolno Polakowi mieć przed narodem polskim jakichkolwiek innych narodów ani służyć obcym ideałom“. Prof. Z. Jaxa - Bykowski pisze o „Wierze a wiedzy“, wskazując na ich wzajemne uzupełnianie się, jako organiźmie z sobą powiązanych form ludzkiego poznania.

Reportaż „Z wędrówek po Polsce egzotycznej“ zawiera dużo bystrych obserwacyj z życia Polesia.

Ponadto numer uzupełniają prace: „Nieznany poeta“ (J. A. Gałuszka), z dużym zacięciem satyrystycznym napisana rzecz „Słów kilkoro“ oraz szereg wartościowych wierszy.

KUPON KONKURSOWY

Nr. 1.

Waga.		Zwycięży.
Musza	—	Polak - Niemiec
Kogucia	—	Polak - Niemiec
Piórkowa	—	Polak - Niemiec
Lekka	—	Polak - Niemiec
Półśrednia	—	Polak - Niemiec
Średnia	—	Polak - Niemiec
Półciężka	—	Polak - Niemiec
Ciężka	—	Polak - Niemiec.

WYNIK OSTATECZNY

dla ....

Imię i nazw. uczestnika konkursu ....

gimnazjum ....

klasa ....

Nie odpowiednie skreślić, w razie remis - zostawić.

KUPON UPOWAŻNIAJĄCY DO UDZIAŁU W KONKURSIE L. M. i K.

Kurator: *J. Schäffer.* Redaktor: *Z. Zajdler.*

Ilustrował: *Al. Czerwiński.*

Adres Redakcji: Częstochowa, ul. Jasnogórska nr. 17. Telefon redaktora nr. 23-26.

Odbito w Zakładach Graficznych F. D. Wilkoszewskiego, Częstochowa, III Aleja 52.

Zakłady Graficzne F. D. Wilkoszewskiego w Częstochowie, III Aleja 52, tel. 22-45.